

ZIARNO



C. RYCHTER.

CÓRKA KALIFA.

NASZA MŁODZIEŻ.



Imowoli obracają się oczy społeczeństwa w chwili, gdy głos nowego roku przypomina nam zadanie i nadzieje przyszłości, na młode nasze pokolenie. Czas posunął się znów o jeden okres naprzód; starsi pochyłili się w pracy i zamknęli zeszłoroczne obrachunki z rozczarowaniem. Lecz do młodych należy to dziecię, które spłynęło z błękitów uśmiechnięte i uderzyło swobodną dłonią w zegar czasu.

Młodzieży poświęcone są nasze zabiegi i starania; o niej myślimy, gdy nękają nas zawody; dla niej pragniemy stworzyć przyszłość chociażby o odrobinę lepszą i radośniejszą, niż jest dla nas teraźniejszość.

Minął czas głośnych ofiar i nadludzkich poświęceń. Gotowość do nich jest w każdej jednostce narodu, która kocha i wierzy w ideały. Lecz siłę tą możemy obecnie zachować jako materiał cenny w wnętrzu serc naszych. Przyjdzie chwila i skrzese zeń iskry, które rozpalą widnokrąg ludzkości.

Obecnie potrzeba nam świadomej, wyteżonej pracy i celowego czynu. To, cośmy stworzyli w trudzie, nad czym posiłkowały nasze głowy, ma prowadzić dalej i dokonać młodzież nasza na gładszej i pewniejszej drodze.

Potrzebny nam piękny, swobodny, twórczy czyn młodości! Jakże potężne wyraża to nasz wielki poeta:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Tak, nad codzienną szarą dolą ma się wznieść myśl młodego pokolenia. Dalekie od niego samolubstwo, nieznana chęć użycia, nieskrępowany duch, który rwie się do działania, nieskażone serce, które pragnie służyć narodowi i całej ludzkości!

Gdy zastęp wołów roboczych z pochylonym czołem orze życiodajną skibę, młode orle wylata ponad chmury; stąd obejmuje okiem miłosnem kraj rodzinny i ziemię całą i na smutną dolę braci strząsa z skrzydeł ożywczą rosę błękitów.

Tak rozumiał przeznaczenie młodzieży i takie wyznaczał jej szlaki Adam Mickiewicz. Sam jako nauczyciel i wódz młodego pokolenia najlepszym mu służył przykładem. A krocząc na jego czele wołał:

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęgą,
A jako piorun twe ramie!

W zespole sił młodych widział powstającą nową przyszłość, pełne nadziei i planów lata, zwyciężone szanie obojętności i egoizmu, rozjaśnione mroki zwątpienia i niechęci. To, co stworzył przebiegły rozum

starych rodów, co zakula w ciasne kształty wygodą przywódców pospolitego tłumu, to młodość zetrze i zerwie bez trudu. Bieg jasnej jej myśli jak błyskawica i czyn wolnego ducha jak grom nagły!

Tak mówi poezja, która jest ogniskiem rozbiegłych po globie ziemskim myśli i nadziei.

Co mówi rzeczywistość, której osłoda i tchnieniem twórczem ma być poezja?

Przypatrzmy się naszej młodzieży!

Nie gorsza ona, może i lepsza niż innych narodów. W jej duszy tkwią hasła rycerskie i świetne marzenia ojców. Przystępna dla każdego szlachetnego porywu, gotowa do każdego wzniosłego czynu. Zdolna i inteligentna; nigdzie w Europie niema tak licznego zastępu młodych ludzi, którzyby równie chętnie czerpali z krynicy wiedzy, równie łatwo gromadzili w swym mózgu zasoby nauki, równie hojnie sypali iskrami zapалу i bogactwem myśli, równie swobodnie umieli zastosować się do wymagań chwili, równie wszechstronnie dawali z siebie objawy talentu i pomyślowości.

Młodzieży naszej przyznać trzeba ogromną przewagę na wielu polach uzdolnień ludzkich. A jednak, gdzie więcej słyszy się skarg na temat młodzieży, jak u nas?

Gdzie tyle ginie talentów, gdzie tyle marnuje się młodych dusz i ciał?

Przyznajemy, że szkół nam nie dostaje, że czynność ich niedostateczna, a plan nauk przestarzały. Widzimy z bólem, że uczelnie krajowe ani w części nie mogą ogarnąć i zaspokoić tych młodych, co garną się do światła i wiedzy.

Lecz czy fakt ten wyjaśnia nam dostatecznie dzisiejszy stan rozbieżności i bezradności młodzieży?

Pzecież z drugiej strony równie głośnie jest skarga na brak uzdolnionych młodych pracowników, na ogrom nie zajętych tylu placówek w kraju, które zagarniają żywioły nam wrogie i obce!

Przyczyny doszukać się nie trudno. Nasza młodzież prowadzona i przygotowana jest do życia zbyt jednostronnie, drogi jej wykreślone są zbyt ciasne.

Obecnie każdy zawód, zwłaszcza w nowo odkrytych dziedzinach przemysłu i kupiectwa, wymaga ludzi zdolnych, fachowych, dzielnych i śmiałych. Niech się uderzą w piersi rodzice i odpowiedzą otwarcie: czy pragną szczerze, aby dzieci ich były wolnymi, niezależnymi i twórczymi obywatelami kraju, czy raczej wolą je pchać do zawodów trudnych, przepełnionych lub niedostępnych?

Lekarzami, adwokatami, dziennikarzami, jednym słowem „inteligentami“ wszyscy być nie mogą.

Nie raczejby kształcić dzieci swe na artystów w

rzemiośle, a na ekonomistów w kupiectwie? Nie lepiej by wskazywać im przemysł rolniczy, ogrodnictwo, warsztat i miarę jako rękojmię przyszłego szczęśliwego bytu?

Nasz przeciętny młodzieniec po ukończeniu szkół gotów jest mniej więcej do wszystkiego. Będzie lichym korespondentem, złym agentem, znudzonym urzędnikiem prywatnym, ladajakiem popychadłem w każdym interesie — ale niem będzie. Nie chce „służyć“, bo „się uczył“ w szkole.

Tym sposobem będzie mnożył się nasz proletarijat umysłowy i rósł zastęp ludzi gotowych do wszystkiego, a przydatnych do niczego — a najpiękniejsze, najwydatniejsze, najlepsze dziedziny pracy jak były, tak leżeć będą odłogiem.

Zapominamy o tem, że każda szkoła, czy ludowa, czy średnia, czy wyższa jest dopiero przygotowaniem do życia. Że możność zdobycia sobie bytu i stworzenia stanowiska w świecie daje dopiero ta druga, twarda szkoła życia. Pierwsza sposobi umysł do zrozumienia otoczenia i zadań człowieka; druga uczy — pracować i tworzyć.

Nie biegałoby po Polsce tylko młodych niezadowolonych i nieszczęśliwych ludzi, którym brak środ-

ków na „doktora“ i „adwokata“, gdyby prosto z szkół średnich poszli do warsztatów. A równocześnie nie byłoby tyle ogromnych luk w naszym stanie kupieckim i przemysłowym, gdyby młodzież polska stworzyła wreszcie z siebie tych nieistniejących dotąd „fachowo wykształconych“ młodych ludzi.

Dla młodzieży polskiej nie istnieje „przepełnienie“, przeciwnie otwierają się przed nią ogromne pola pracy twórczej, uszczęśliwiającej kraj i dającej pełne zadowolenie dla siebie i swoich.

Czy trzeba koniecznie urodzić się drugim synem lorda angielskiego, aby z zapałem wstępować w szranki rzemiosła — nie partactwa, — i kupiectwa — nie szalbierstwa?

Pryskają nieczułe lody,
I przesady światło ćmiące...

Niech prysną wreszcie lody ciemnoty i pragnień rodzicielskich; niech młodzież nasza zerwie z przesadami tradycji i pomna słowa: że żadna praca nie hańbi — rzuci się z zapałem do warsztatów i sklepów kupieckich, a wtedy zajaśnieje jej „jutrzienka swobody“ obywatelskiej, zadowolenie z bytu i pracy, a na oścież otworzą się bramy lepszej, pełniejszej i szczęśliwszej przyszłości!

Tadeusz Jaworski.



PIEŚŃ BORU.

*Słyszysz?... To jodły szepcą swe pacierze...
Szum idzie cichy przez nocne przestworza,
Jakby z oddali płynął pogwar morza,
Co się o skalne rozbija puklerze...*

*Widzisz?... Namioty jodeł stoją czarne,
Wiechami swoich kiwając gałęzi...
Moc jakaś ducha trzyma na uwięzi
I lękiem trwożnym napętnia, jak sarnę...*

*Czujesz?... Duch lasu musnął nas skrzydłami,
Czarne namioty jodeł go schowały...
Bór głucho jęknął i zachwiał się cały,
Rosy się z jodeł sypnęły perlami...*

*Słyszysz?... Ogromną teraz pieśń bór śpiewa,
Wiatr przybiegł z polan, gdzie leśny jałowiec
Drzemie, jak stado ciemnorunnych owiec,
I wszystkie chórem ozwały się drzewa...*

Zdzisław Dębicki.

Polska sztuka plastyczna.

I.

Naród, który w dorobku swym umysłowym nie może wykazać się wszelkimi gałęziami sztuki, uchodzi za upośledzony. Umiłowanie piękna i twórczość artystyczna słusznie uważane są jako objawy życia duchowego, jako wyraz dążności wyższych, jako uzupełnienie konieczne życia powszedniego.

Wiemy, i mamy dowody na to, że człowiek jeszcze w stanie bardzo pierwotnym, starał się odtworzyć nieudolną dłoń otaczającą go przyrodę. Jest to dowodem, że skoro przerwał na chwilę uciążliwą swą pracę dla utrzymania swego bytu i chwycił za wyostrzony krzemień lub ość ryby, aby wyryć nią na kości lub płycie z miękkiego kamienia rysunek zwierzęcia albo drzewa, zaczynał wtedy zastanawiać się nad otaczającą go przyrodą, że poczynął — myśleć.

W jaskiniach skalnych i mułach jezior wykopano w ostatnich czasach obok pierwotnych sprzętów i narzędzi dzieła jego bardzo prostej i bardzo skromnej sztuki. Są to linje nieudolne i niezgrabne,

które dają jednakże świadectwo pierwszych prze-
błysków ducha ludzkiego.

Nie inaczej dzieje się i dzisiaj. Lud wiejski, żyjący zdala od kultury wszechświatowej, nie znający ani rzeźby, ani malowideł nowoczesnych, posiada jednakże w swej duszy popęd do twórczości, która nie daje mu żadnego zysku ani pożytku. Te ozdoby wycinane na skrzyniach, stołach i ławach, ta fujarka pastusza, te wianki uwite z kwiecica polnego, to objawy zmysłu artystycznego. Prostak nieuczony dąży mimowoli do twórczości artystycznej, aby ozdobić sobie chatę, aby uprzyjemnić sobie ży-

i jak przedstawia się sztuka polska — a w szczególności najdobitniejszy jej wyraz, malarstwo?

W ogólnym dorobku ludzkości, w dawnych czasach, nie zapisano bodaj drobnej wzmianki o pierwszym malarstwie polskim i żaden z pisarzy powszechnych dziejów sztuki nie wspomina o nas ani słowem. Nie znaczy to jednakże, jakbyśmy w początkach naszej historii [zupełnie byli pozbawieni zmysłu artystycznego. Natomiast słusznem jest twierdzenie, że przez długie wieki, kiedy inne narody święciły u siebie w różnych epokach najwspanialszy rozkwit życia artystycznego, kiedy Włochy,



Zygmunt Józefczyk.

(Salon art. „Sztuka“).

„Bajka“.

cie, aby wreszcie dać wyraz nieprzepartym chęciom, które niepokoją jego umysł i żądają wyrazu widocznego.

Tak powstaje sztuka ludowa, która dzisiaj nabiera coraz większego znaczenia jako duchowa własność i dążność artystyczna narodu. Bez niej uchodziłby naród jako obarczony kalectwem duchowym. Kto nie umie patrzeć i kochać przyrody, przetwarzając otaczające go widoki i wzory w swej wyobraźni i następnie utrwaląc je swą ręką w kamieniu, drzewie, na płótnie, tkaninie i t. p., ten nie zdolny jest do szlachetnych porywów, do wzniosłych czynów, ten, jednym słowem, nie umie być dobrym i twórczym. Komu zaś nie dostaje tej cnoty, ten skazany jest na śmierć i zagładę. Jakże wyglądała

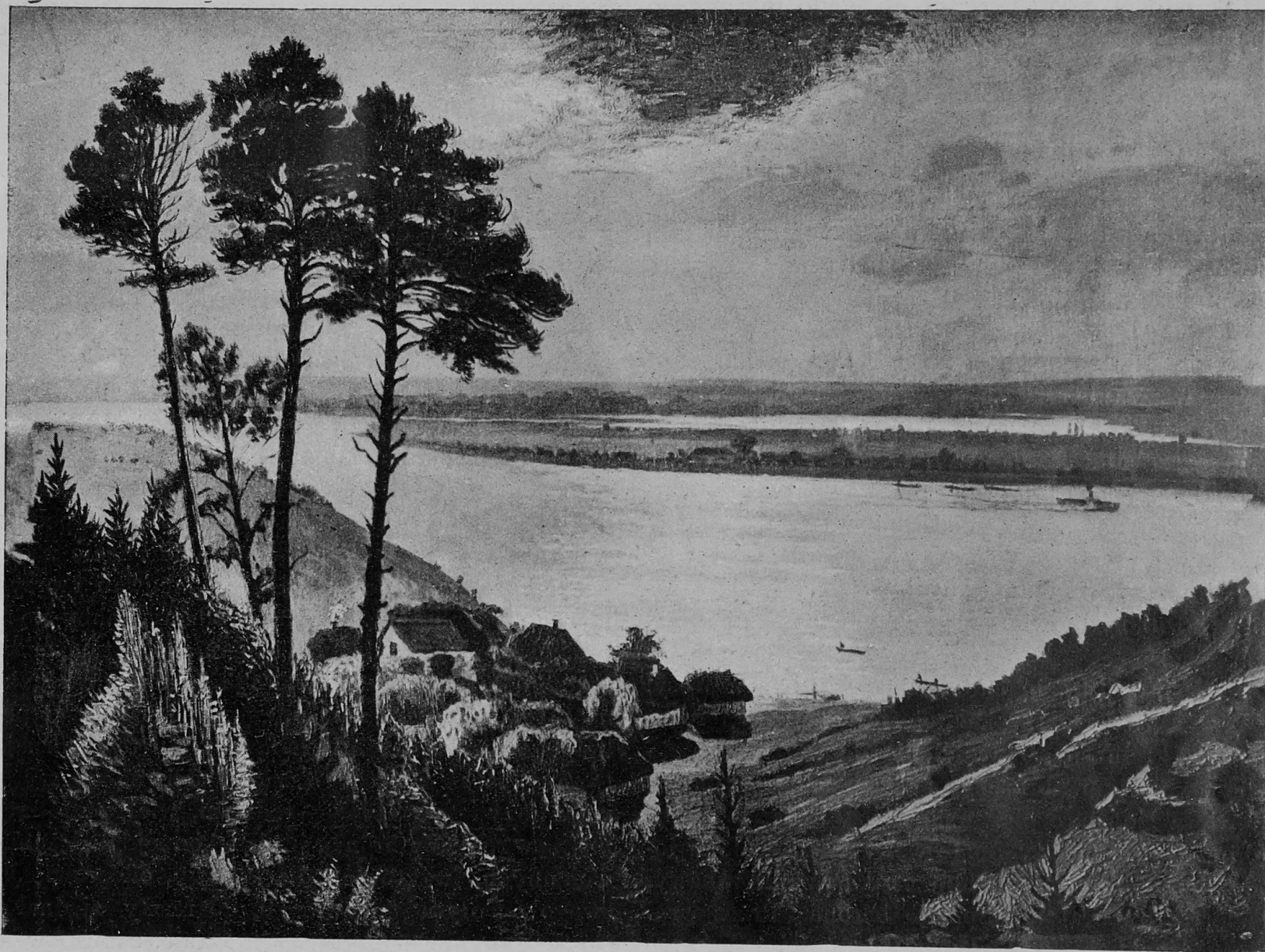
Holandja, Niemcy, Hiszpanja i Francja, wreszcie i Anglja odbierały sobie kolejno palmę pierwszeństwa w dziedzinie twórczości plastycznej, z nad brzegów Wisły i Warty nie przedarło się w świat szerszy ani jedno nazwisko malarza, któryby mógł stanąć obok takich twórców jak Giotto, Leonardo da Vinci, Van Eyck, Duerer, Michał Anioł, Rafael, Rembrandt, Velasquez, Poussin i Reynolds.

Spowodowało to wielkiego znawcę i miłośnika sztuki, Juljana Klaczkę, do przedwczesnego sądu o naszej zupełnej nieudolności artystycznej. Odsądzono nas niejako raz na zawsze od wszelkiego udziału w dziedzinie piękna i sztuki oraz twórczości plastycznej. A że wówczas mieliśmy już dzieła Reya, Kochanowskiego, Skargi, Potockiego i naszej trójcy

romantycznej: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, przyznano nam łaskawie, że zdolni jesteśmy jedynie dać wyraz naszym ideałom i naszemu poczuciu piękna w słowie i formie pisanej.

Nagle osłniewające zjawienie się wspaniałego malarstwa czasów ostatnich i stały potężny rozrost sztuk plastycznych polskich w dobie obecnej, zadawały kłam temu twierdzeniu. Równocześnie wyszło na jaw, że zarówno lud w cichości swych chat i pól, jak i mieszczaństwo polskie w wiekach średnich posiadało zamiłowanie i poczucie piękna plastycznego. Co więcej, zabytki i tradycja pouczają nas, że nigdy

czną. Dawna Polska nie przedstawiała bowiem gleby zbyt podatnej dla uprawiania tak delikatnego kwiatu, który rozwija się jedynie w ciepłej i miękkiej atmosferze pokoju i dobrobytu, pielęgnowany troskliwą dłonią rozmiłowanego hodowcy. Kraj nasz od zarania naszego bytu był szarpany burzami wojen i najazdów. Ciągła gotowość bojowa otwierała pole do wyrabiania w nas innych cnót i upodobań. To było przyczyną słabego rozwoju sztuki polskiej przez wieki. Istniało poczucie piękna i możność twórczości, lecz nie stało miejsca i czasu, aby właściwościom tym dać wyraz przedmiotowy. T. W. J.



Włodzimierz Nałęcz.

(Salon art. „Sztuka“).

„Wisła“.

nie pozostaliśmy na tych polach twórczości bezczynnymi. Żył w samym zaraniu naszego bytu narodowego sztuka ludowa i istniało wybitne malarstwo cechowe na wzór podobnych organizacji na zachodzie.

Dzisiaj odnajdujemy te cenne dokumenty życia artystycznego dawnej Polski i chociaż nie mamy ich tyle, co narody szczęśliwsze pod względem położenia geograficznego, historycznego i politycznego, niemniej nie potrzebujemy się wstydić, jakoby los pozbawił nas całkiem zmysłu i poczucia piękna. Z drugiej strony uwzględnić winniśmy warunki naszego bytu ziemskiego, które w krótkich tylko okresach pozwalały nam na spokojną twórczość artysty-

PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

MYSZURES.

(C. D.).

Otóż, pomimo licznych starań współzawodników, szala fortuny przechyliła się na stronę Gałgana przez niewinne ręce Nuchimka. Prawda, iż było to wdzięczne i piękne chłopię, jacyemi umieją być dzieci żydowskie, o czarnych, tryskających ogniem

i sprytem oczach, o wiotkiej i zręcznej postaci. Z natury po ojcu, a może przeczuwając dla się przyszłość rodzicielską, myszuresową—uśmiechał się zawsze bieluchnymi jak perły ząbkami, był usłużny, zwinny, potulny — słowem warunki gotowały mu wielką karierę w zawodzie myszuresa.

Wszakże ślepy traf działał najwięcej, dając Nuchimkowi dziwne podobieństwo do małego syneczka barona, którego był rówieśnikiem. Kiedy baronowa przypadkiem spotkała chłopaka na ulicy, z niepowstrzymanego popędu chwyciła go za rękę i zaprowadziła do męża.

W istocie, podobieństwo to miało być nie do rozpoznania, generał się niem ucieszył i zaraz przebrawszy Nuchimka w suknie swojego synka, poprowadził do kolegów, a nie posiadał się z radości, iż mu się fortel udał, bo wszyscy małego żydka wzięli za generałowicza. Zaraz go przezwano „baronkiem”; wszakże to mu nic nie szkodziło, iż zawistni koledzy ojca dali mu przezwisko „barana”, skoro trudne, a tak pożądane stanowisko schwycił im z przed nosa.

Zwinneż to było żydziatko Nuchimek, a rychło umiał się wkręcić w łaskę czarnych huzarów, których wszystkie figle i piosenki przejął od razu. A że zręczny był do wszystkiego, huzarzy dobrali mu małą szabelkę i nauczyli fechtunku, który tak doskonale pojął, że starych rębaczy wprawiał w zdumienie; już i na koniu jeździł i musztrę znał, jak stary kawalerzysta.

Widząc to inni myszuresi, wściekali się z zazdrości; atoli żydkowie innego fachu cmokali sobie, powiadając:

— Aj, waj! toż będzie myszures nad myszuresy!

Wszakże baronowej, kobiecie z sercem i rozumem, przykrem się to wydało, iż chłopię młodziuchne, będąc żywym obrazem jej ukochanego jedynaka, ponieważ się w rozpuście pomiędzy huzarami, więc Nuchimek był wzięty do towarzystwa młodego generałowicza, odbywał z nim nauki, dzielił zabawy, stał się, jakby bratem młodego barona. Przez wrodzone zaś uczucie delikatności niewieściej, baronowa nie chcąc narażać drażliwości starego myszuresa w przywiązaniu do narodowych tradycji, chłopięciu strój żydowski pozostawiła, a odziewała go tylko w wykwintne szaty, z próżnością matki dla własnego dziecięcia. Miał tedy Nuchimek piękny kaftan grodeturowy, aksamitem lamowany, krymkę złotem haftowaną, buciki czerwone, pasek z czystego jedwabiu, złotem przeszywany, i wszystko jak z igły, a bogate. A kiedy z baronostwem przejeżdżał się w powozie po mieście, siedząc przy towarzyszu, żydki na ten widok radośnie klaskali, powiadając z dumą:

— A co, nasze żydki berdyczowskie z generałami i baronami za pan brat!

Nieco biednemu ojcu było markotno w początkach, iż synek *trefne* z konieczności spożywa, lecz pocieszył się w końcu tem, że wiary ojców się trzy-

ma, oraz zapewnieniem kariery dla syna przy takim panu, nakoniec i wziętością u huzarów, których pozyskał bez wysiłku, jako ojciec kolegi młodego barona. I gdyby stary Szloma nie był człkiem czułego serca i straty towarzyszy życia szczerze nie opłakiwał, mógłby się pocieszyć przysłowiem, iż „nie ma złego, coby na dobre nie wyszło”.

Lecz, niestety! nieprzewidziane wypadki zamały tę błogość: synek baronów zakończył życie. Nie trzeba powiadać, jak dotknęła biednych rodziców strata jedynaka, którego kochali nad życie. Sama baronowa wpadła z początku w obłęd, który się zamienił w szaleństwo z furją. Generał wyszukiwał środków ratunku dla ulubionej towarzyszy życia, a po wielu doświadczeniach, wynaleźli jako jedyny skuteczny sposób: Nuchimka, którego podobieństwo do zmarłego kolegi z każdym dniem się zwiększało, przebrano w jego suknie, to jest w mundur paziowski, do tego bowiem korpusu syn generała, za zasługi ojca był zaliczonym. Zarazem, jak to w owe czasy nie było trudno, szczególnie dla wyższych dygnitarzy, chociaż w młodym wieku, liczył się kadetem, czyli jak dziś zowią, junkrem w pułku ojca, chociaż służbę pełnił tylko z fantazji.

Czas, wielki lekarz, zatarł pierwsze porywy żalu rodzicielskiego, a z czasem tak się oboje przywiązali do Nuchimka, iż zapomniawszy o jego pochodzeniu, za syna poczytywać go poczęli. Oficerowie, również radzi, że ich generał znalazł pociechę w ciężkim frasunku, a jego żona uleczenie z okropnej choroby, wcale temu nie oponowali i przyjęli nowego, przybranego członka rodziny, jakby się nim urodził. Po paru latach, zapomniano o tej zmianie. Nuchimka tytułowano młodym baronem F. i zlano na niego wszelkie względy, jakie mu zasługi przybranego ojca zjednały. Dodawszy do tego, iż adoptowany baron z natury posiadał dziwną uprzejmość i dar przypodobania się ludziom, wielką zaś zręcznością w robieniu bronią, jeździe konnej i ćwiczeniach wojennych, w których dla zabawy, oficerowie jako swego faworyta go ćwiczyli, do reszty zjednał ich serca. Staranne pańskie wychowanie, zatarło w nim do reszty charakter pochodzenia.

Tylko stary Szloma niechętnie widział to przeobrażenie w synu. Jako husyt, gorszył się zmianą stroju i obyczajów, lecz z drugiej strony pokora myszuresa i zależność pracy sprzeciwiały się jawnej opozycji. Modlił się w duchu, żeby te zmiany gwałtowne nie doprowadziły jego dziecka do stokroć boleśniej zmiany—wiary. Posmutniał stary Gałgan, pochylił się, i owa łza „od słońca i pyłu” coraz częściej ukazywała się w oku.

Trwało tak lat parę, a całe to przeobrażenie z młodym myszuresem tak się utarło, iż nietylko rodzice, ale i nikt ze znajomych i otaczających nie pomyślał o niej, a już poczytywali Nuchimka urodzonym baronem. Rósł też on w krąg męską, i nabierał gładkości światowej; wychowanie staranne.

które baronowie przelali z syna zmarłego, chwyciło się sprytnego żydka; znał dokładnie obce języki, posiadał piękny talent muzyczny, którym nad wiek swój wszystkich zadziwiał. A nic w nim myszuresowego nie pozostało, jakby w istocie zrobił się paniątkiem.

Nowe wydarzenie przeważnie wpłynęło na losy młodzieńca. Naczelný wódz przybył na rewię wojska. Już to ojciec przybrany chłopca i cały korpus oficerów zawyrokował, aby go postawić w szeregach i przedstawić jako dzielnego żołnierza w tak młodym wieku. Wódz miał słabość do barona, a nadto lubił zręcznych i pięknej postawy żołnierzy. Obie te zalety łączył w sobie młody kadet, którym się nie mógł dość nacieszyć. Musztrował go na wszystkie strony, macerował z znajomości sztuki, a w końcu, nie będąc zapewne świadomym stanowiska młodzieńca, awansował go na oficera.

To był cios straszny dla biednego Gałgana, który tem się przynajmniej pocieszał, że kiedyś huzarzy wyjdą z Berdyczowa, a jego synek pozostanie i wróci do jarmułki i pejsów według obyczaju ojców.

Atoli zawiódł się stary w miłym spodziewaniu. Ranga oficerska prowadziła chrzest za sobą, bowiem godności tej żydom nie udzielano, a naówczas izraelici nie pełnili powinności wojskowej; gdyby zresztą nawet stary Gałgan mógł co na to poradzić, to zawsze zaszczyt udzielony był nie do odrzucenia.

Wobec tak ważnej, a drażliwej dla sumienia zmiany, stary Gałgan, jako gorliwy wyznawca wiary ojców, zapomniawszy pokory myszuresowej, energiczną zamierzał stawić opozycję: syna, chociażby przez gwałt odebrać, zakląć... przekląć w ostatecznym razie, przed niczem się nie cofnąć, aby dziecko od odstępstwa ochronić. Lecz, cóż mógł biedak bezsilny, stary myszures, wobec takiej siły? Tembardziej niemocny był, że syn jego, Eks-nuchimek, już osmnastoletni młodzian, ojca zapomniawszy, chrzest chętnie przyjął i z tradycją przodków zerwał bez żalu.

III.

Powrót Krzuckich.

Odkąd Wołyn Wołyniem, pamięta ród Krzuckich, który przyrósł do tej ziemi od wieków.

Co zaś do historii rodziny, dośćby zaprawdę z zamkniętymi oczyma, na chybił trafił, o każdym potomku wyrzec: orał lub bił się!

Nie powiada się tego o magnatach i arystokracji, pnącej się dla prywaty i własnej korzyści, na rozmaite wyżyny. O tych, co to się frymarkami posuwali, a jeden drugiego rad był prześcignąć w intrygach żądzy zaszczytów i rozmaitych praktykach machiawelskich, słowem, co radziły się wzajemnie w łyżce wody utopić... nie bacząc, czyli ta woda kraju nie zaleje...

W drugiej połowie wieku XVIII żył jedyny przedstawiciel rodu tego, Florjan Krzucki, podsejdek krzemieniecki; po wyższe tytuły Krzuccy zwykle nie sięgali. Siedział zaś na dwóch wioskach rodzinnych: Krzucy i Janczowie; a że na dłuższy czas „orania“ trafił, więc trzecią wioskę, Linczówkę, przyrobił, a jeszcze jakąś czwartą na Włodzimierskiem nabył, co się zowie tedy, szlachcie się „zakrągłi“.

Siedział tak, a orał, aż czasu bicia się doczekał; a że był sam, jedyny, bezzenny, skoro więc spenetrował, skąd tam wiatr bicia zawiał, gospodarstwo przeżegnał krzyżem św., nasypał w trzos grosza, w sakwę kaszy, przypasał szerpentyne do boku, siadł na podjezdka i oparł się aż pod Barem na Podolu... Dokąd dalej? Gdzie oczy niosły, a służba wzywała; zresztą niewiadomo, bo i sam o tem nie mówił, gdy wrócił po dobrym przeszło roku, chromy, z rozbitym łbem, wynędzniały; ale znów, jak przedtem, zasiadł cicho przy roli, wprowadzie wyjałowionej i przy dobytku rozszarpanym. Łeb wygoił, nogę wyprostował, i jak to mówią: „przyszło jak na psie“.

Fortunka wprowadzie się zachwiała, ale na szczęście, znów dłuższe lata orki następowały. Jakoś tam sobie radził, a że w dwoje lżej dźwigać tą biedę żywota, pojął dozgonną towarzyszkę i... dobrzeby mu było, gdyby nie to, że towarzyszka jakoś się sprzeniewierzyła, a dając życie doczesne synowi i córce, sama do wiecznego się przeniosła.

Bolał nad tem biedny Krzucki; przynajmniej syn mu był pociechą, a z czasem, gdy podrośł, w kolegum łuckiem dobrze się do nauk przykładął.

Oszczędnością i pracą odorał Krzucki co przejoyował, ale znów czasy burzliwe nastawały. Nadchodził sejm czteroletni, na który, jak wiadomo, wiele województw nie mogło sobie dobrać posłów, a wołyńskie więcej ich niż dziesięciu zmieniło.

Na sejmiku w Łucku zjawił się Krzucki, bo już to od żadnej sprawy się nie usuwał krajowej. Skoro go ujrzała szlachta, u której dla wielkiej pocziwości mir nielada posiadał, hurmem zawołano:

— Krzucki nam będzie posłował! Dość mamy tych magnatów... Prosimy pana Florjana!

— Mili panowie bracia, dziękuję za afekt i zaufanie, ależ zważcie, iżem żaden jest mówca ani statysta, mogę pokpić sprawę w tak zacnem gronie wybrańców... Gdyby to jeszcze trzeba wywinąć szerpentyne, tobym przy pomocy Boskiej, pisał się na to, ale...

— Wiemy, iż waszec nie wymowny, ale człek pocziwy, a duszę masz nie na ramieniu. To czego nie dogadasz, tego dobijesz, a nie przefrymarczysz, jak inni czynią, dla prywaty i własnych, ukrytych widoków...

Wtrącił tam jeden i drugi. A wszyscy dalej gardłować:

— Wiwat! Niech żyje Krzucki, poseł wołyński!



Angelika Kaufman. _

Portret własny.

Rzeczono i zrobiono; chwycili kandydata na bary, wynieśli z kościoła dominikańskiego, gdzie się sejmik agitował, okrzykami w tryumfie miasto z drogim ciężarem, aż jakoś zawadzili przed węgrem Gedeszem, który z wypadku beczkę wina na pasach przed dom im wytoczył; sprawę zapili i stał się poseł... Już się uczuciom bratnim wymawiać nie śmiał Krzucki, bo w rzeczach publicznych dziwnie miękkie miał serce.

Skoro się pierwszy huczek przetarł, a nowo wybrany poseł odebrał wskazówki i pismo, stateczniejsi go zagadnęli:

— A kiedyż pan poseł zamysła wyruszyć?... bo to czas nagli, a panowie tam tymczasem frymarczą i knowają. Zapewne na jaki dzionek do domu skończysz; może ci w czym usłużyć?

— A czegoż mi tam do domu?

— Jak to czego? rozrządzić wszystko i...

— Ja sam u siebie jestem rządcą, a temu, którego pozostawiam na mojem miejscu, dysponować nie mogę...

— Zapewne zostawisz waść synaczka; kawaler to już dojrzały i stateczny, na ostatnim wydziale w Łucku...

— Syna biorę z sobą, tam będzie miał lepszą szkołę świata, niżli tu, w kolegjum, a napatrzy się siła przeróżnych ludzi... Poszlę go zaraz do domu, weźmie tam co jest grosza, parę podjezdków okulbaczonych, a jutro po mszy św. u OO. Bernardynów, otrzymawszy błogosławieństwo na drogę, wyruszymy z Bogiem, kiedy taka wola panów braci.

— Ależ, może jegomość powierysz komuś sprawy majątkowe, trudnoż tak na Opatrzność...

— Otóż to jest, że na Opatrzność; ostatnim razem tak pozostawiłem i złem na tem nie wyszedł.

Dawno już nie skończył się tak wcześnie zjazd przedsejmowy w Łucku, zazwyczaj burzliwszy, niż ten, na którym Krzucki go posłem obrano. A na trzeci dzień, kiedy zwykle jeszcze na większe burze zanosilo się, już za obydwojma Krzuckimi zakurzyło się na tracie warszawskim. (d. c. n.)



KORONA ŁOKIETKA.

Niedawna *) podawaliśmy w „Ziarnie“ obszerną wzmiankę o klejnotach korony Polski wraz z szczegółowym opisem korony królewskiej Władysława Łokietka i jej ryciną. Niespodzianie dochodzi nas wiadomość o odnalezieniu szczęśliwym cennego zabytku zmierniejszej doby, który z skarbcem królów polskich mógł znajdować się w ścisłej łączności.

*) Zob. № 46 z r. 1913 „Korona polska“.

W pewnej miejscowości w Królestwie Polskiem wicher wyrócił parusetletnią lipę. Drzewo obróciło się korzeniami do góry. W ziemi, pod korzeniami, dość głęboko, znaleziono szyszak rycerski, w nim zaś koronę. Była owinięta w materję, zupełnie zetlałą z starości. Szyszak za dotknięciem rozsypał się na cząsteczki, tak był przeżarty rdzą.

Właściciele gruntu, odkrywcy ten zabytek, postanowili natychmiast przewieźć go do Krakowa i zamiar ten skutecznie, ofiarując koronę do skarbcza katedralnego. Zastrzegli jednak, aby dopiero po trzech latach rzecz ujawnić i by zachowano, co rzecz główna, zupełną tajemnicę co do miejsca, w którym koronę znaleziono i co do osób, które ją przywiozły. Dopiero po roku 1949 można będzie ogłosić, gdzie koronę wykopano. Wtedy bowiem nastąpi przedawnienie wobec władz państwowych.

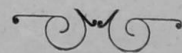
Koronę przywieziono w kawałkach, które dały się jednak szczęśliwie złożyć w całość. Są to cztery ogniwa, tworzące obręcz. Z górnej krawędzi ogniwa wychodzą liście stylizowane liljowe, kształtowane, jak często się napotyka, w średniowieczu. Cztery te ogniwa łączą się w całość za pomocą niewielkich zawiasek. Przetyka je szpilka, zakończona również u góry stylizowaną lilją. Cała metalowa część jest wykonana z blachy brązowej, dość grubej, pierwotnie połączanej, obecnie mocno przegryzionej grynspanem. Zarówno obręcz, jak lilje, pokryte są wprawionymi sześćdziesięciu pięciu kamieniami, niezszlifowanymi. Są to przeważnie szmaragdy i rubiny, jak się okazało przy bliższem zbadaniu, nieprawdziwe lecz podrobione z szkła.

Liście lilji wykonane są ładną robotą trybową. W każdym ogniwku jest szesnaście kamieni, w szpilce jeden, razem 65.

Korona jest tak zrobiona, jak stwierdzili znawcy, że nie była przeznaczona ani do trumny, ani na posąg. Robota jej, wykonanie i kształt wskazują, że była wykonana istotnie do użytku i noszenia przez króla. Obwód wynosi 61 cm. Wysokość największa od dołu obręczy do szczytu lilji osiemnaście i trzy czwarte centymetra.

Zdaniem znawców, korona, która niebawem będzie wystawiona w katedrze na Wawelu, służyła prawdopodobnie tylko do chwilowego użytku, gdy chodziło o wjazd uroczysty lub ceremonję. Natomiast nie mogła być użyta do koronacji, gdyż wtedy musiałaby z względu na sakramentalny obrzęd być zrobiona z szczerzego złota i ozdobiona prawdziwymi kamieniami.

Robota pochodzi z końca czternastego lub początku piętnastego wieku. Korona podobna jest bardzo w rysunku do djademu Kazimierza Wielkiego, ale widocznie o kilkadziesiąt lat późniejsza. W każdym razie służyła królom polskim i jest niezmiernie cennym nabytkiem w pustym skarbcu na Wawelu.



J a w a.

Najmniejsza lecz najcenniejsza z wysp Sunda na oceanie Spokojnym, zarazem najpiękniejsza krai-
na na kuli ziemskiej, oblana od północy morzem
Indyjskim, ma Jawa 1070 km. długości, 67 — 208
km. szerokości i 131622 km. kwadratowych po-
wierzchni. Od północy i wschodu wyspa jest płas-
ka, częściowo nawet błotnista, natomiast od zacho-
du brzeg wysoki spada nagle z wysokości 100 m.
w ocean Indyjski. Od zachodu do wschodu przebie-
gają Jawę pasma gór, dochodzące do 1000 m. wy-
sokości; wśród nich znajduje się 45 wulkanów, z

się badacze i podróżnicy całego świata. Około trzy
czwarte obszaru wyspy znajduje się pod uprawą;
jedna piąta okryta jest bujnym lasem dziewiczym,
miejszem zamieszkania licznych dzikich zwierząt.
Nosorożec, wół dziki, tygrys, pantera, jelenie, dziki,
małpy zaludniają niziny i góry jawajskie.

Zwierzęciem domowym jest bawół, używany
do uprawy ziemi obok koni niskich lecz silnych;
owiec i kóz ma Jawa nie wiele. Lasy zaludnia oko-
ło 270 gatunków ptaków o ogromnej różnorodności
barw; w rzekach żyją krokodyle-kaimany, na wy-
brzeżu morskim jest wielkie bogactwo ryb, a owa-
dy, zwłaszcza chrząszcze, tworzą najpiękniejszy zbiór
na kuli ziemskiej.



Mieszkania jawajskie.

tych 28 czynnych. Nigdzie na kuli ziemskiej nie
znajdujemy tak gęsto usianych gór ognistych, obok
bijących źródeł gorących i innych wulkanicznych
zjawisk. Trzęsienia ziemi są na Jawie powszed-
nie, rzadko dochodzą jednakże do gwałtownych ob-
jawów.

Klimat jest tropiczny; najłagodniejsze miesia-
ce: styczeń, luty i lipiec mają przeciętną tempera-
rę +25° C. W górach codzienne niemal panują bu-
rze, nasza zima objawia się tam w długich deszczach.

Z roślin znajdujemy drzewa kauczukowe i chi-
nowe, dalej rośnie tutaj bujnie kawa, tytoń, trzcina
cukrowa, indigo, ryż i pieprz. Holenderzy, któ-
rzy panują nad Jawą od lat długich, urządzili tutaj
wspaniały ogród botaniczny, do którego zjeżdżają

Z metali znajduje się na Jawie nie wiele że-
laza i w rzekach trochę złota.

Jawa z wyspą Madurą liczy 26 milionów mie-
szkańców. Przewagę mają oczywiście tubylcy rasy
malajskiej, dzielący się na sundańczyków, jawajczy-
ków i madurezów, wyznawców Buddy i licznych
duchów oraz Mahometa. Europejczyków jest na Ja-
wie 60 tysięcy, chińczyków przeszło ćwierć miliona,
dalej po kilka tysięcy arabów i hindusów. Ludność
mieszka gęsto w nizinach; głównym miastem jest
Batawia, dalej liczą przeszło 100 tysięcy mieszkań-
ców Surabaja i Surakarta.

Jawajczycy ubierają się w tkaniny wzorzyste
„batik“, malowane ręcznie na obie strony. Z batiku
robią sarong, rodzaj spódnicy, podtrzymywanej w

biodrach szerokim pasem. Lekka tkanina obwija nadto kibić kobiet aż po ramiona, które zarówno jak szyja są nagie. Na to wszystko nakładają poza domem granatowy luźny kaftan, otwarty z przodu.

Jawajczyk jest milczący; na obliczu jego maluje się zazwyczaj wyraz smutku i zadumy. Nie można wystawić sobie bardziej melancholijnej i żalostnej twarzy. Postać szczupła i smukła dużo posiada wdzięku. Ponad sarongiem z tyłu wetknięty jest za pas nieodstępna „kryza“, broń narodowa, szeroki prosty nóż. Na barkach malajczyka krótki kaftan; na głowie wzorzysta chustka, końcami w tył wiązana, lub okrycie w formie biretu stożkowatego. Mężczyźni noszą nadto długie do kostek, obcisłe spodnie.

Wyspa cała podległa jest holendrom, którzy dla formy pozostawili jawajczykom „cesarza“ w Surakarcie i „sultana“ w Dżokiakarcie, obu pozbawionych zupełnie władzy, wiodących w pałacach swych i haremach żywot nad wyraz nudny i monotony. Jedynie w święto noworoczne, gdy kończy się post Ramadanu, sultan wychodzi poza obręb swego pałacu, czyni przegląd bardzo nielicznego wojska od parady, odbiera podarki ludu w formie piramid z gotowanego ryżu i jarzyn oraz mięsa i ryb i znika znów w głębi swego pałacu przy dźwiękach orkiestry, „gamolangu“, w której wielką rolę odgrywają „sarony“, cymbały z płyt metalowych.

Przed „Kratonem“, dworem a raczej więzieniem sultana, rosną dwa olbrzymie banany. Tam według podania, stać musieli po kilka dni ludzie, powołani przed oblicze sultańskie dla rozstrzygnięcia ich skarg i sporów. Jeżeli przychodził wyrok: nie winien, osobnik mógł wracać do zwykłego życia. W przeciwnym razie wołano go pałacu. Tam w altanie z dachem chińskim siadywał sultan i patrzył, jak w skazańca z pewnej odległości rzucano nożami — aż do skutku.

Dzisiaj władza sultańska rozciąga się tylko nad pięcioma tysiącami kobiet w haremie i dwoma tysiącami służby, które nie zdołają jednak rozproszyć beznadziejnej nudy beczynnego życia władcy.

KULIG.

„Jakże noc pyszna, jak lecą konie,
Lecą i lecą, a z pod kopyta,
Pryskają iskry — połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie błędnie czoło księżycy,
Droga skończona — oto granica, —
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa,
Oto jest kulik polaka!“

Ten utwór Słowackiego, był ostatnim z pisanych na ziemi ojczystej; zaraz bowiem po ogłoszeniu go drukiem w Warszawie, wyjechał za granicę, tułał się w obczyźnie i tam zakończył życie.

Nazwę kuliga, wyprowadzano od buławy, która na rękojeści swojej miała kulę. Taką obsyłać miano, z drzewa wyrobioną, po osadach od wioski do wioski, od dworu do dworu, gdy potrzeba była zwoływania na obrady liczniejsze mieszkańców, czy to z ziemi, czy powiatu.

Kiedy ten zwyczaj w tym celu ustał i zastąpionym został przez posłańców z wezwaniami na piśmie, buławy takiej zaczęto używać do oznajmiania, że przy dobrej sannie, ochoczy goście do tego lub owego dworu zawitają: a cały ten korowód nazywano kuligiem.

Była to jedna z najpiękniejszych zabaw naszych ziemian, kiedy pilnując ojcowskiego gniazda, w tym dworze gdzie się rodzili i umierali, podejmowali wesołe kuligi.

Grały one poważną rolę w owych czasach, jak zasięgamy pamięcią, pierwszych lat XVIII stulecia, gdy dla braku komunikacji — przy bezdrożach, złych drogach, a najgorszych mostach, podróż kilkunastomilowa, stanowiła w życiu szlachcica wielki wypadek, bo wymagała licznych przygotowań i przyborów. Ale gdy śnieg wyrównał drogi, mróz grubymi lodami ściał rzeki i brody — i sanna się utorowała: przestrzeń tak przerażająca ziemianina wiosną, latem i jesienią, zmniejszała się bez porównania, bo przy dobrych koniach, przesuwano się swobodnie jak po stole dwie i więcej mil na godzinę.

Po takiej więc drodze, warto przedsięwziąć wycieczki i do dalszych krewniaków i sąsiadów, a korzystając z zapust, przebawić wesoło, zanim skowronek szary wzlatując nad miedzą, nie zawezwie do pracy nad rolą!

Starsi wiekiem, chętnie dzielali zabawę kuligu, bo mogli się zobaczyć z drogimi sercu swemu przyjaciółmi i druhami, nagawędzić się swobodnie o ich doli i niedoli — dowiedzieć o sprawach narodowych, i naradzić, jak postępować dalej dla dobra ojczyzny! Matki z córkami ochoczo w nich brały udział: pierwsze dla tego, że doskonała wydarzała się sposobność pozyskania rozgłosu z wdzyków i wychowania starannego, a córkom były wczesnie serduszka pewnością, że się wybornie zabawiają, wytańczę, i każda znajdzie grono zalotników, o których po porannej lub wieczornej modlitwie przed obrazem Boga Rodzicy, w cichej zadumie marzyły.

Do wybranego przeto dworu blizcy krewniacy i przyjaciele z rodzinami się zbierali, tu naradę złożywszy, umawiali się, gdzie najprzód wpadną kuligiem. Jeżeli to był dom zamożny, mniej się tym najazdem gwarnym i licznym troszczyli, ale gdy się wybierano do uboższego ziemianina, wcześniej przysyłano mu w darze: zwierzynę, ryby, wędliny, ciasta, mąkę, wino, miody i piwo w beczkach, aby nie



G. MARX.



KULIG W WIEKU XVII.

zbrakło niczego; a te dary osładzano taką serdeczną prośbą o ich łaskawe przyjęcie, że każdy rad je przyjmował.

Kuligowe tymczasem towarzystwo, kończyło co rychlej przybory do podróży, która trwała nie dzień ni dwa, ale całe tygodnie. Kobiety musiały zapas brać z sobą sukien, mężczyźni mniej w tym wybredni, przygotowywali się zarówno do zabawy, jak do myśliwskiej rozrywki, bo to czas dobry do łowów, po ponowie, kiedy z grubego zwierza łatwo na śniegu wysledzić tropy. Broń też pod ręką była potrzebna, dla obrony przed gromadami wilków, które coraz więcej nabierały zuchwałości, gdy głód im dojmował, a broń zdała się także i przeciw bandom łotrów, co nieraz całym okolicom groziły.

Na parę godzin przed wyruszeniem całego kuligu, wyjeżdżał naprzód jeden z młodzieży przebrany za arlekina sankami w ręce konie; i ten do wskazanego dworu, który wybrano na pierwszy kulig, wpadał niespodzianie, a skacząc po komnatach i przewracając stołki, bijąc z lekka trzepaczką drewnianą każdego spotkanego, wołał donośnym głosem: Kulig! kulig!

Dwór cały z radosnym śmiechem i okrzykiem wtórował mu, wszyscy się żwawo krzatali, ażeby przygotować należycie wszystko na przyjęcie gości. Na kuchni buzował się wielki ogień, wszystkie pokoje oświecono rzęsiście świecami jarzącymi, gospodarstwo z rodziną przybierało odświętne ubrania i zanim usłyszano kuligowe dzwonki i kapekę, która przodem jadąc, już cięła hucznego marsza — w dworze był ordynek należyty.

Orszak kuligowy witał państwa, ich dzieci, krewnych i domowników zebranych, poczem obchodził kołem salę, czy izbę jadalną największą; a gdy ogrzano się z zimna, po przekąsce, zaraz rozpoczynano ochocze tańce, a starsi w oddzielnej komnacie, przy kieliszku wytrawnego węgrzyna, ulubioną gawędkę.

Teraz bawiono się radośnie dni parę lub więcej: następnie dalsze miejsce przeznaczono na zjazd kuligowy, zabierając z sobą gościnnych gospodarzy. Tak więc jak lawina śnieżna, orszak kuliga coraz się zwiększał i gdy pierwszy miał sześć lub dziesięć sani, ostatni ich kilkadziesiąt liczył.

Kiedy młodzież sercowe załatwiała pragnienia, sędziwe grono obywateli godziło sąsiedzkie spory i zawiści. Zagrzewani tu w cieplej atmosferze miłości i braterstwa, podawali rękę do zgody: tu obmyślano opiekę dla sierot, pomoc wdowie podupadłej lub zapomogę dla zniszczonego pożarem, gradobiciem, albo jaką niedolą, zacnego ziemianina. Bo dawna szlachta polska, dobra jak to mówiono: „do wybitki i wypitki“ złote miała serce i cokolwiek do zacnego serca przemawiało, żywo najszlachetniejsze jego struny poruszało.

Ale czas opuścić gościnne progi: śnieg lepiej

przyprószył, mróz lepszy nacisnął, więc dalej w drogę! jak mówi Malczewski:

My sobie jedziem kuligiem
I w noc i we dnie,
Wesoło, szalono, przednie.
Szczerą ochotę,
Otwiera wrota.
Lecim saniami,
I jadą z nami,
Wrzawa, śmiech pusty.
Czy znasz ty polskie zapusty?
K. W. W.

Z zimowych dni.

*Wicher łka jeszcze; — deszczem zimnym nielitośnie
Uderza w drobne szyby, siecze oddrzwia chaty,
Jakby w rozpacz szalał pa umarłej wiosnie
I jęcząc, hucząc, szumiąc ucieka znów dalej.
Tylko skarzą się liście i zeschłe pól kwiaty
I tęsknej echo pieśni mogiłom się żali! —*

*Wicher łka; — taki bezmiar straconych nadziei,
Żal za szczęściem podartym na strzępy przedwcześnie,
Taki lęk życia smutnych, nieznanych kolei,
Dźwięczy w zawodzeń nucie, drzy nędzy rozpacz,
Że zbudzić może chaty, pogrążone we śnie,
Tych smutnych, niekochanych, co swej doli płaczą!*

*Wicher łka; pędzi dalej, uderza u szczytu
W wąskie okno, przemocą je ramion otwiera,
Z dzikim śmiechem szaleńca, śmiechem łez i zgrzytu,
Wpada, gasząc swym tchnieniem bladą płomień świecy; —
Wpada; — w tajniki nędzy przemocą się wdziera
I jako król zniszczenia panuje w ciemnicy! —*

*Wicher łka; jęły szyby i płacz z piersi dziecka,
Płacz do skargi podobny, drzy nutą rozpacz,
A nędza, głód i łkanie, wraz z wichrem się łączy; —
I śmierć, ta niekochana, cicha i zdradziecka,
W swe ponure ramiona objęła tułaczy; —
Wicher łka, kropla w krople łez strumień się sący.*

.....
O zimo nielitośna, o zimo ty nasza,
Gdy lodem ścinasz żyły i oddech nędzarzy,
A nie zapytasz nawet o dzieci poddasza,
Ile łzami zalanych sierocych tam twarzy! —
Ty nie zapytasz nawet, gdzie złożą swe skronie,
Podczas mroźnych zawiei bezdomni tułacze,
Czem ogrzeją od pracy poczerwiałe dłonie,
I czy jest serce, które nad nimi zapłacz! —
O zimo nielitośna, ty nie wiesz, jak wiele
Nędznych się istnień twoich zamieci ulęknie,
Tyś zawsze niewzruszona w lodowym swem ciele
Choć nad skostniałym dzieckiem matczyzna pierś pęknie!
Leonja Grabska;

Wybuch wulkanu japońskiego.

Państwo japońskie składa się z znacznej ilości wysp, zgrupowanych w północnej części oceanu Spokojnego. Trzecią z rzędu co do wielkości jest wyspa Kin-Shin, zwana także Saikaido. Obszar jej wraz z kilku przyległymi wysepkami liczy 42672 kilometry kw. mieszkańców posiada około 6 i pół miliona. Wnętrze wyspy jest górzyste, a wysokość poszczególnych szczytów dochodzi do 2000 m. Wyspa posiada dwa stale czynne wulkany, Azo i Kiriczim, a w ostatnim czasie poczęły ukazywać się także wybuchy na górze Sakuraszima.

Głównymi produktami kraju są węgle, miedź i tytuń; ludność japońska trudni się nadto tkactwem, rybołówstwem i fabrykacją porcelany. Częste trzęsienia ziemi raz po raz dawały się w znaki krajowcom, lecz przywykli do nich spokojnie oddawali się codziennym zajęciom.

Niespodzianie nawiedziła teraz wyspę straszna katastrofa. Wulkan Sakuriszima, położony niedaleko miasta Kagoszima, otworzył nagle swe piekielne czeluście i zasypał na 20 wiorst wokół wszystko lawą płonąca, kamieniami i popiołem. Równocześnie z wybuchem nastąpiła z strony morza powódź, która zalała nieszczęsne miasto i zrównała je z ziemią. Katastrofa jest tak olbrzymia, że przypomina zniszczenie Mesyny na Sycylii i zagładę Pompeji i Herculanium przez Wezuwiusza.

W samym mieście Kagoszima i pobliskich wioskach liczba zabitych i rannych sięga 100 tysięcy osób. Co nie uległo spaleni przez wybuch i lawę, to zabrała straszna fala morska. Okrąg, w którym leży wulkan, jest odcięty od reszty wyspy.

Kagoszima jest miastem nadmorskim mniejszem nieco od stolicy wyspy, Nagasaki. Posiadało kilka fabryk broni i fajansu i liczyło około 60 tys. mieszkańców. W r. 1864 było zbombardowane przez flotę angielską lecz niebawem znowu powstało z gruzów. Obecnie niema go już ani śladu. Śmierć straszna zawładnęła nad całym obszarem urodzajnej i ludnej wyspy.

Równocześnie całą południową Japonię nawiedziło silne trzęsienie ziemi, czynne też były wulkany Azo i Kiriczim. Komunikacja przerwana. Wybuch wulkaniczny rozpoczął się w niedzielę. Olbrzymie odłamy skał leżą na przestrzeni 30 kilometrów i spiętrzone są miejscami na wysokość 600 metrów. Lawa płynie gęsto i zalała trzy wioski. Ludność ucieka, ale tysiące osób zginęły. Ziejący ogień i lawa zajęły miasto Kagoszima, przyczem i tu poginęły tysiące osób. Miasto opustoszało zupełnie i spalone jest doszczętnie, tak że pozostały tylko gruzy i po-

pioły. Jedyne człowiek, który tam pozostał, telegrafista, zginął też śmiercią w ogniu, gdyż depesze jego zostały nagle urwane. Dziennik „Sun“ donosi z Tokjo, że według ostatnich wiadomości, wulkan Sakura wciąż jeszcze jest czynny. Miasto Kagoszima zupełnie jest zniszczone, bądź to przez lawę, bądź też przez fale morskie. Z portów japońskich odpłynęły na miejsce katastrofy parowce z żywnością, namiotami i kocami. Wysłano tam również lekarzy wojskowych i pielęgniarzy.



Ziarnka naukowe.

(Sztuczne chłodzenie i jego rozwój. — Spór o mieszkańców Marsa. — Niezwykłe przejawy telegrafii iskrowej. — Wpływ rzek na kierunek prądów elektrycznych.)

Nizkie temperatury, sztucznie wytwarzane, są od dłuższego już czasu ważnym czynnikiem życia społecznego. Temu bowiem zawdzięczają wielkie miasta swe zaprowiantowanie, temu zawdzięcza uboższa ludność tanie mięso, sprowadzane z odległych okolic kuli ziemskiej, temu zawdzięcza się możność konserwowania środków spożywczych przez dni, tygodnie a nawet miesiące w składach miejskich i regulowanie w ten sposób sprzedaży i popytu.

Wynalazek sztucznego chłodzenia nie jest zbyt dawny, datuje się bowiem od roku 1876. Przed kilkoma laty zbudował pierwszą sztuczną chłodnię zmarły niedawno wynalazca francuski, Karol Tellier, zwany popularnie „ojcem chłodu“. Tellier podzielił los licznych wielkich wynalazców: zmarł w chłodzie i głodzie, podczas gdy inni zyskali z jego wynalazku milionowego korzyści. Może i nazwisko jego zaginęłoby w niepamięci, gdyby nie to, że przypom-



Jawajczycy z okolicy Dżokji.

(Do art. „Jawa“).

niał je na międzynarodowym kongresie przemysłu chłodniczego — w r. 1908, znany uczony francuski d'Arsonval. Nędza, w jakiej zmuszony był pędzić żywot twórcy szeregu milionowych fortun, wzruszyła uczestników kongresu; zorganizowano narodową składkę, celem zgromadzenia funduszu, mogącego wielkiemu wynalazcy zapewnić spokojną starość. Zebrano kilkadziesiąt tysięcy franków, z czego połowę ofiarowali przedstawiciele Argentyny na kongresie, i wręczono je uroczystie Tellierowi, nie przypuszczając oczywiście, że obdarowany w pierwszym rzędzie użyje tego funduszu na nowe próby, mniej już rozgłosne choć nie mniej kosztowne.

Na statku „Frigolique“ dokonał Tellier pierwszej na wielką skalę próby swego pomysłu. Zabrał wówczas kilkadziesiąt ton mięsa rozmaitego gatunku, drobiu i ryb i z ładunkiem tym, chłodzonym według własnej metody, wyruszył w podróż morską, trwającą z górą sto dni. W Hawrze, gdzie wylądował wreszcie, przedstawił przywiezione mięso opinii lekarzy i spotkał się wprost z niewiarą, jakoby tak długo było przechowywane; cały zapas bowiem był zupełnie zdalny do użytku i został skonsumowany bez szkody dla zdrowia.

Nadspodziewany wynik doświadczenia wywołał zainteresowanie w szerszych kołach przemysłowców, którzy, oparłszy się na metodzie Telliera i doskonaląc ją ustawicznie, rozwinęli z biegiem lat chłodnictwo w potężną gałąź przemysłu. Dzisiaj świat nie umiałby już sobie bez niej poradzić. Sama Argentyna wywozi rok rocznie za około 700 milionów mrożonego mięsa; południowa Rosja i Syberja zaopatruje pół Europy w mrożoną rybę; owoce kalifornijskie i australijskie dostają się do krajów europejskich w chłodzonych wagonach i okrętach w stanie zupełnej świeżości. A dalej chłodzenie wielkich rzeźni, chłodzenie browarów, fabrykacja sztucznego lodu itp. — wszystko to opiera się na zasadzie wynalazku Telliera, dziś już oczywiście ogromnie przekształconego i udoskonalonego.

Ale „ojcu chłodu“ nieraz dokuczał chłód, zwłaszcza w ostatnim roku życia, spędzonym w zupełnym ubóstwie w Auteuil pod Paryżem.

* * *

Od lat wielu interesuje się ludzkość bardzo żywo zagadnieniem, czy inne ciała niebieskie są zamieszkane przez jakieś żyjące istoty, a zwłaszcza istoty ludziom podobne. Zabierają w tej kwestji głos uczeni i laicy, astronomowie i powieściopisarze-fantastów; kiedy niekiedy dostrzeżę ktoś jakieś rzekome sygnały, dawane plemieniu ludzkiemu przez mieszkańców Marsa, to znowu usiłuje ktoś z ziemi skomunikować się z Marsem znakami świetlnymi.

Zajmującą bardzo opinię o zamieszkalności innych ciał niebieskich ogłosił ostatnimi czasy kierownik obserwatorium astronomicznego w Greenwich, Maunder. Autor ograniczył się w swej broszurce

do zagadnienia, czy istnieją na innych ciałach niebieskich stworzenia podobne do ludzi. Przedewszystkiem zaznacza, że wszystkie słońca (zarówno słońce naszego systemu planetarnego, jak inne gwiazdy stałe) podobnie jak i księżyc ziemi nie mogą być zamieszkane, wyklucza to bowiem zasadniczo sama budowa tych ciał niebieskich. Przy badaniu sprawy zamieszkalności planet naszego systemu słonecznego trzeba wziąć pod rozwagę trzy zasadnicze, miarodajne czynniki, rozstrzygające o ewentualnem istnieniu ludzkich istot, a mianowicie: obecność wody na planetach, ciśnienie powietrza spowodowane masą (siłą ciężkości) danej planety, a wreszcie stosunki ciepłoty. Bez wody nie może istnieć żadne, nawet najniższe stworzenie żyjące. Ale gdyby nawet udało się wykazać obecność wody na niektórych planetach, to nie świadczyłoby to jeszcze bynajmniej o tem, jakoby planety te mogły być zamieszkane. W pierwszym rzędzie odnosi się to do wielkich planet zewnętrznych, krążących poza ziemią dokoła słońca, Jowisza, Saturna, Uranusa i Neptuna. Masy ich są tak wielkie, że ciśnienie atmosferyczne, zgodnie z znacznie wzmożoną siłą ciężkości, uniemożliwia zupełnie życie istot podobnych ludziom na tych planetach. Powtóre wpływ ciepła słonecznego na tych prawdopodobnie jeszcze ognisto-płynnych planetach nie wystarczałby do rozwoju życia organicznego.

Ale autor uważa również za bezwzględnie wykluczone, aby i najbardziej wewnętrzna, najbliższa słońcu, planeta Merkury mogła być zamieszкана. Zasadniczym powodem jest dla niego, że planeta ta podczas swego obiegu jest zawsze tą samą stroną wystawiona na palące promienie słońca, drugą zaś zawsze na lodowate mrozy wszechświata. Już to samo udaremnia istnienie życia organicznego na jej powierzchni.

Można zatem brać w rachubę tylko dwie planety, najbliższe naszej ziemi, Wenerę i Marsa. Zdaniem Maundera i one są prawdopodobnie niezamieszkane. Wprawdzie planeta Mars jest pod wieloma względami dosyć podobna do ziemi, ale ani panujące na niej niskie ciśnienie powietrza, ani niska przeciętna ciepłota atmosferyczna nie sprzyjałyby wedle naszych pojęć życiu istot ludzkich.

Oto jak rozstrzyga tę sprawę uczony angielski. Poplecznicy twierdzenia co do ludzi na Marsie nie dadzą jednak zapewne za wygraną i nie pozostaną dłużni odpowiedzi, szukając z swej strony nowych przekonywujących wywodów. Naukowy spór toczyć się będzie dalej, bez wyniku, chyba, że tymczasem mieszkańcy Marsa dadzą naprawdę niezbitą dowody swego istnienia.

* * *

Podczas badań nad telegrafją iskrową dokonano niedawno niezwykle interesujących spostrzeżeń. Okazało się, że fale elektryczne, wytwarzane w wysyłających depesze stacjach iskrowych, nie rozchodzą



J. Puyot.

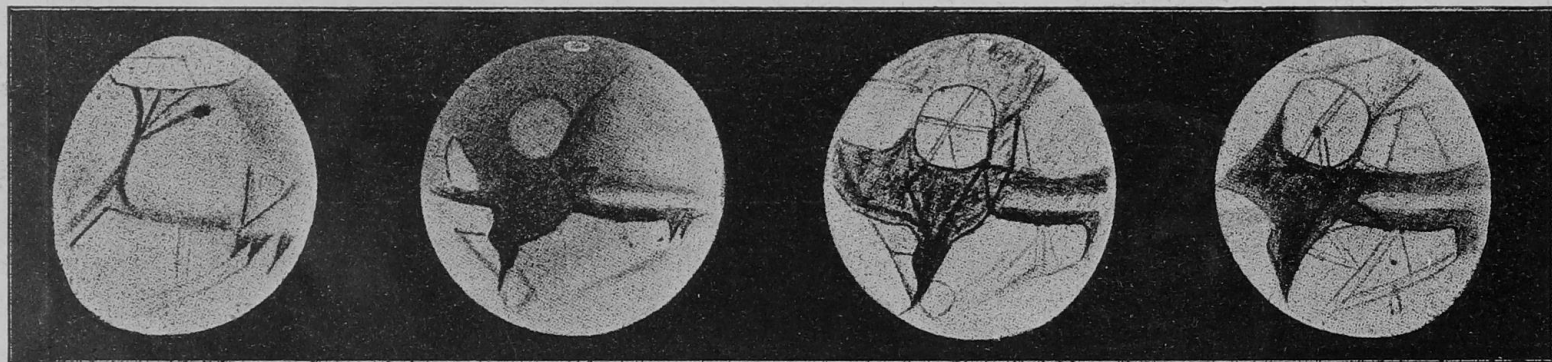
Bukiët.

się bynajmniej równomiernie w wszystkich kierunkach, lecz gdzieindziej zanikają niemal zupełnie, gdzieindziej zaś objawiają się niezwykle silnie, tworząc wprost w przestworzu całe prądy. Nagromadzenie fal i ich kierunek są zazwyczaj zupełnie zgodne z kierunkiem rzek przecinających powierzchnie ziemi. Tak n. p. wędrują fale iskrowe zwłaszcza wzdłuż Renu i Rodanu, skutkiem czego można niemal mówić o prawdziwych drogach iskrowych w atmosferze...

Zjawisko to objaśni najlepiej parę przykładów: Stacja wysyłająca na lądzie stałym znajduje się w pobliżu wielkiej rzeki. Doświadczenie poucza, że główna energia elektryczna koncentruje się w kierunku tej rzeki i dąży wzdłuż prądu rzeki. Tele-

gramy, wysyłane przez stację iskrową w Norddeich koło Norderney, docierają aż do morza Śródziemnego. Jeżeli okręt, któremu wysłano depesze, znajduje się właśnie w pobliżu ujścia Rodanu, depesze są 10 do 1000 razy silniejsze, aniżeli wtedy, gdy statek oddalił się już bardzo od Rodanu. Takie samo zjawisko stwierdzili w szeregu stacji południowo-amerykańskich nad brzegami Amazonki. Mimo przedzielającego je dziewiczego lasu i wysokiego łańcucha Kordyliarów oddziaływanie prądu iskrowego między stacjami w Lima, Manaos i Para jest tak silne, jakim bywa zwykle jedynie na pełnym morzu. W tym wypadku, jak należy przypuścić, wody Amazonki przyciągają fale elektryczne i nadają im kierunek.

St. I.



Powierzchnia Marsa.

Wybryki natury.

Natura płata czasami figle i sprowadza na świat ustroje, które nie posiadają, każdy oddzielnie, warunków życia samoistnego. Łączą je wspólne organy i los wiąże ich żywot aż do końca wędrówki na tym padole.

Znana jest historia braci sjamskich oraz dwu młodych murzynek Radica-Dodica. Te żyły dłużej w niepodzielności. Ale chirurgia współczesna robi zamach na te dziwy i oto d-r Le Filliatre przedstawił świeżo akademii medycznej w Paryżu dwie dziewczynki: Magdalенę - Zuzannę, urodzone dnia 27 listopada r. z.

Mają główki własne, z silnie indywidualnymi rysami, z twarzyczkami prawie że niepodobnemi. Są one zrosnięte, poczynając od jamy piersiowej aż do linii żołądka.

Badania radjograficzne przekonały, że płuca i serca obu istotek działają samodzielnie. Istnieją też dwa kanały pokarmowe, dwa żołądki, kiszkki oddzielne dla każdego organizmu, lecz dwie błony brzuszne są połączone. Przy każdym oddechu lub przy płaczu kiszka cienka Magdaleny przechodzi w żołądek Zuzanny i cofa się przy wydychaniu.

Radjografia kinematograficzna utrwaliła ten

ruch kiszeczek. Ale nie można było jej stosować zbyt długo, bo promienie X szkodziły wątłym ustrojom niemowląt. Niepodobna też było ustalić granicy dwóch wątrób — szczegół decydujący dla zabiegu chirurgicznego.

Stan dziewczynek jest wyborny; są to dzieci miłe i grzeczne. Karmione z początku smoczkiem, obecnie ssą obie jednocześnie piersi mamki. Zyskują wspólnie 10 gramów dziennie i ważą obecnie 5 kilogramów (12 funtów).

Ich dwoistość duchowa i cielesna nie ulega żadnej wątpliwości. Jedna śmieje się, gdy druga płacze. Zuzanna patrzy ciekawie, gdy Magdalena śpi — ich niemowlęca wola objawia się zupełnie niezależnie.

Magdalena ma 48 centymetrów, a Zuzanna 50. Jedna ma rączki mniejsze i drobniejsze nóżki. Serce jednej bije 120 razy na minutę, a drugiej 130.

Mają różną temperaturę ciała i niejednakowe brzmienie głosu. Badania mikroskopowe krwi wykazały też różnice w ilości kulek czerwonych i białych.

Ojciec ich ma lat 35, matka 45. Poprzednie dzieci były zupełnie normalne.

Zapewne nóż chirurga w tych dniach już rozdzieli te dziwotwory.



Kronika polityczna.

Hardo i śmiało podniosła głowę reakcja w Niemczech. Na czele ruchu szowinistów stanął następca tronu, młodzieniec zuchwały, butny i niedowarzony, któremu pochlebia, że wprawia świat polityczny w osłupienie swoimi telegramami i frondą przeciw ojcu. W rzeczywistości jest nieodrodnym synem Wilhelma II. Ten zadziwiał i niepokoił Europę swoimi mowami; syn obrał teraz drogę wygodniejszą i bawi się podburzaniem wojska przeciw władzom cywilnym i ludności, krótkimi lecz wymownymi depeşami. W sprawie zamieszek alzackich sądy wojskowe wydały niesłychane wyroki. Brutalom tego rodzaju jak Forstner, Reuter i Schad udowodniono jawne przestępstwa, kaleczenie spokojnych mieszkańców, bezprawne więzienie sędziów i prokuratorów, najścia domów i wybryki, których nie powstydziliby się dzicy murzyni. „Kronprinz” telegrafował „brawo!”, „ostro naprzód” itp., a sądy ich uwolniły. Że najspokojniejszych ludzi takie postępowanie musi oburzyć i podniecić, nie ulega wątpliwości.

Równocześnie zatarg pomiędzy armją a ludnością, szowinistami a demokracją, przeniósł się na pole przedstawicielstwa ludu. W pruskiej izbie wyższej junkrzy wystąpili ostro przeciwko parlamentowi, który rzekomo nie dość uwzględnia przewagę Prus w rzeszy niemieckiej i nie dość okazuje patriotyzmu. Głośne echo odezwało się natychmiast w niższej izbie sejmowej. Tu i tam rządzą żywioły bardzo zacofane, które nienawidzą rzekomo „czerwony” parlament, który przecież uchwalił niedawno miliard marek na wojsko i stały podatek na dalsze zbrojenia. Tego wszystkiego za mało jest jednakże nowoczesnym krzyżakom pruskim, którzyby z „kron-princem” swym na czele chcieli zgnać demokrację niemiecką i zaprowadzić bezwzględne rządy pięści i miecza.

Widząc ich przewagę przedzierzgnął się też szybko kanclerz rzeszy, który chcąc ugłaskać atakujących go szowinistów, począł dąć w ich trąbkę, zapewniając ich o swych silnych uczuciach „pruskich”, czyli pogańskich. Parlament tymczasem spsobowi się do walnej rozprawy z rządem z powodu zajść i wyroków alzackich i biednemu kanclerzowi innego rodzaju gotuje znów łaźnię.

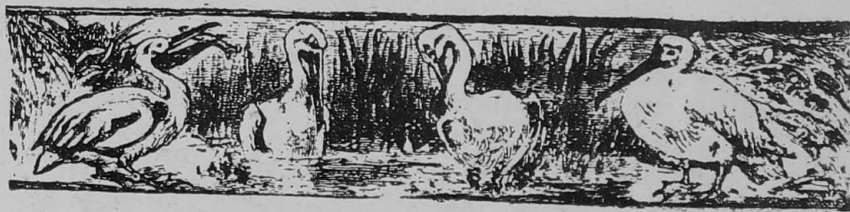
Jestto w każdym razie chwila przełomowa w Niemczech, która zasługuje na baczną uwagę, zwłaszcza, że rząd berliński zarządził wprost gorączkowe zbrojenia i poczynił liczne zamówienia broni.

W Albanji położenie staje się dnia na dzień bardziej zawiślane. Znosi się na zbrojne powstanie mahometan, które ma przeprowadzić wybór turka na rządcę kraju. Równocześnie rosną przeciwieństwa w łonie komisji kontrolującej, do której trójprzymierze i trójporozumienie wysłały po trzech przed-

stawicieli grup państwowych. Położenie jest tego rodzaju, że przy każdej sprawie głosują Niemcy, Austria i Włochy przeciw Rosji, Francji i Anglii, tak iż w końcu obrano albańczyka jako rozjemcę siódmego. Ten znów zawsze trzyma z trójprzymierzem. Obecnie najpilniejszą sprawą jest znalezienie kapitału zakładowego na urządzenie nowego państwa, uzbrojenie wojska i zaprowadzenie stałego rządu. Pieniędzy dać może tylko Francja lub Anglja, a właśnie te państwa grożą wystąpieniem z komisji, przez co ks. Wied musiałby obyc się pięknymi słówkami Austrii, Włoch i Niemiec, które mu grosza nie dadzą. Bez pieniędzy zaś nowy władca w półdzikim kraju nie ani zorganizować, ani począć nie może.

W Petersburgu odbył się olbrzymi zjazd nauczycieli ludowych. Świadczy to o dążnościach w kierunku oświaty, popieranej usilnie przez ogół i, co jest bardzo znamienne, przez rząd, który pierwotnie zezwolił na uczestnictwo 3 tys. nauczycieli, a następnie rozszerzył je na 6200 osób. Najznamienniejszą jest wśród bladych sprawozdań, wygłoszonych przez referentów, uchwała grupy ukraińców, że „szkoła ludowa powinna być bliska i pokrewna ludności językiem i całym swym ustrojem”. Żądanie to wprawiło w wielki niepokój szowinistów wszechrosyjskich, którzy wystąpili już z protestem przeciwko rzekomo niesłusznym uchwałom „małorosjan”. Dla polaków, którzy nie brali w zjeździe udziału, znamienne jest objawione po raz pierwszy w sposób zasadniczy dążenie do rozwiązania odwiecznych mroków analfabetyzmu i niesienia ludowi tego, co mu jest najpotrzebniejszem: oświaty!

Lech.



Z KAUKAZU.

Polowanie na koziorożce w górach Kaukaskich.

(c. d.).

Góry kaukaskie to niezmierzone obszary, to zupełne bezludzie, na którym cisza panuje grobowa. Tylko tam gdzieś z najgłębszej głębi wydobywa się szmer strumienia, który spływa kroplami po lodowych ścianach Szino. Słychać trzask oderwanego kamienia, który toczy się z hukiem po wąskiej szczelinie. Raz wraz odpryskują rozluźnione kawały skały, zakreślają łuk i giną kędyś — w szarej głębi przepaścistego wąwozu.

Jeżeli uniesiemy wzrok w górę, to ujrzymy na zawrotnych wierzchołkach walczące z sobą koziorożce, które porównać można do szarych duchów



Pzystanek na wojskowej drodze gruzińskiej.

górkich, przesuwających się niby cienie po gładkiej ścianie skalnej. A gdy ukończą swoje walki, siadają w szczelinach, tak wąskich, że od dołu robią wrażenie wstążek i tutaj oddają się wypoczynkowi, drwiąc sobie z tych wszystkich, którzyby się ośmielili przerwać im tę siestę.

Któż by tam odważył się prześladować koziorożce na tych niedostępnych szczytach górskich! Pomimo to król tych gór, kozioł, który prowadzi stado, wysuwa się naprzód i z niezamąconym spokojem rozgląda się na wszystkie strony, czuwając bacznie nad powierzoną sobie gromadą. Prawie nie porusza ciężkimi nogami, ale bystre jego oko ślizga się bez przerwy po różnych załomach, i niedowierzająco bada parów, wytworzony przez rzeczkę, której huk nie dochodzi już tak wysoko.

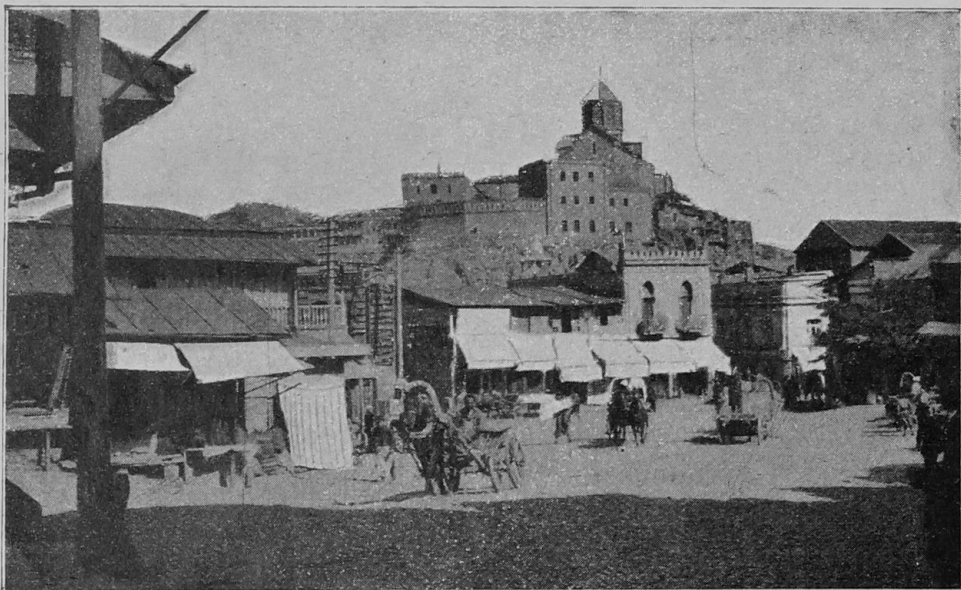
Nie grozi wprawdzie żadne niebezpieczeństwo; ale podejrzliwemu starcowi wydaje się, że tam na dole w szarej głębi jednak coś się poruszyło i kamień oderwał się bez powodu. W tej chwili zrywa się i robi skok szalony, choć jeszcze nie jest pewny, czy ma przeraźliwym świstem dać znak ostrzegawczy swojemu stadu, ażeby ono pobiegło w trwodze wyżej jeszcze na szczyty skalne.

Nic się nie porusza! Żadnego wroga nie dostrzega bystre oko przewodnika sta-

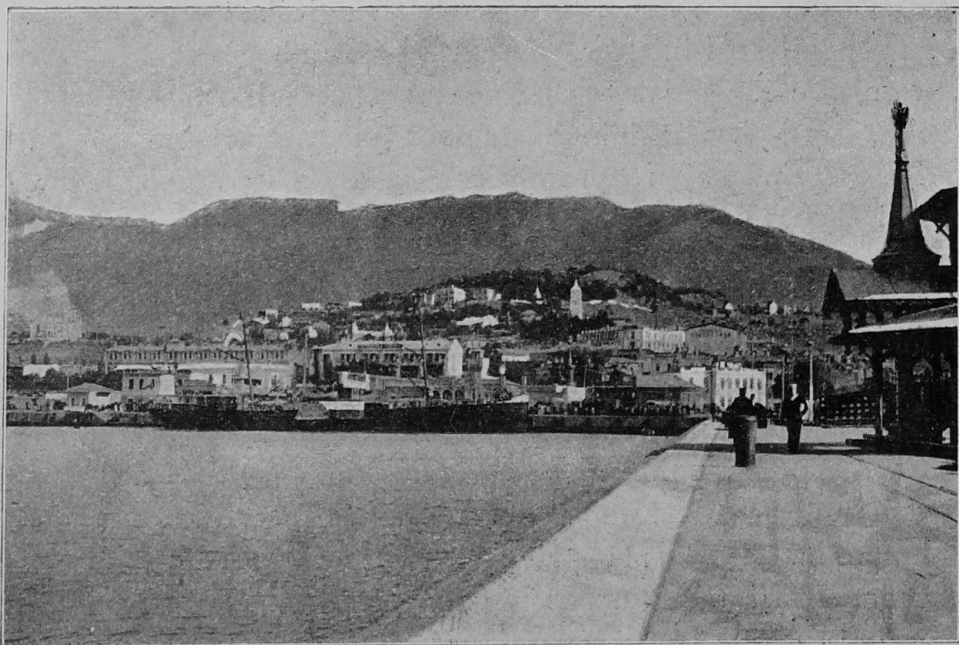
da, nie widzi ono ani wielkiej bryły brunatnego niedźwiedzia, ani skrytobójczo podkradającego się człowieka. Więc z wolna powraca kozioł na swój tron skalny i niedomyśla się wcale, że słuch i wzrok, tak ogromnie wyrobione, jednak w tym wypadku go zawiodły. Nie był to kamień, który się oderwał, ale człowiek, który dla zmylenia czujności nałożył na siebie szarą płachtę. Kozioł nie widzi tej rurki, przez którą od kilku już godzin śledzi każdy ruch stada zawzięty myśliwy. Lornetę swoją bowiem człowiek tak starannie owinął, że nawet w największym blasku słonecznym nie odbijają się części metalowe lupy.

Powoli, bez zwracania na siebie uwagi porusza się ta płachta naprzód i dąży do zwału skalnego, który tworzy rodzaj kulisy, zslaniającej z boku parów olbrzymi. Już nie krok za krokiem, ale cał po calu zbliża się płachta do owych kulis kamiennych.

Nareszcie odrzuca myśliwy płachtę i rozciera straszliwie bolące kolana, które już dłużej nie wytrzymałyby takiego pochodu na klęczkach po ostrych, jak brzytwy, cyplach lodowych. Chwila odpoczynku, a potem wkracza na prawie prostopadłą ścianę, badając grunt uważnie, gdyż każdy niebacznie odłupany kamień tocząc się z takiej wysokości na dół, mógłby od razu



Więzienie w Tyflisie.

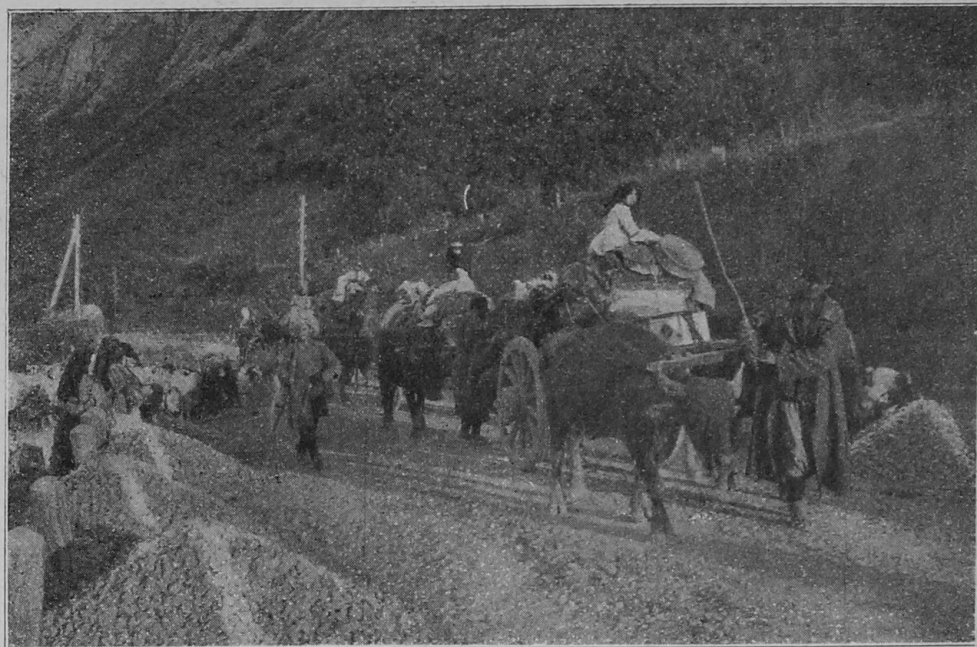


Jalta na Krymie.

spłoszyć koziorożce i całe tak mozolne starania obrócić w niwecz.

Bez ruchu stoi stary kozieł na swoim miejscu, nie rusza się również całe stado, które przed coraz więcej dokuczającymi promieniami słońca opuściło się nieco w głąb szczeliny. Myśliwy wpatruje się w potężne rogi kozła, najokazalsze, jakie mu się zdarzyło napotkać od lat wielu. Ale chociaż zdawaćby się mogło, że zwierzęta są najzupełniej spokojne, to przecież wie aż nadto dobrze, że podejrzliwy kozieł ani na sekundę nie przestaje czuwać, i tylko przed jego wzrokiem broni człowieka ściana skalna, której oczy jego nie mogą przebić.

Godziny płyną za godzinami. Niby to jest wygodnie w tym obozowisku, które obrał sobie tutaj myśliwy, możnaby też oddać się lenistwu i odpoczynkowi.



Karawana muzułmanów w Mechecie.

(Dokończenie nastąpi)

Z blizka i daleka.

Firma ogrodnicza C. Ulrich, licząca przeszło 100 lat istnienia, obchodziła w niedzielę ubiegłą uroczy-



Br. Wiśniewski. (Salon art. „Sztuka“). Mała piastunka.

stość poświęcenia i otwarcia nowej siedziby w Warszawie przy ulicy Ceglanej № 11.

Piękny i wielki gmach w stylu „Empire”, wzniesiony przez budowniczych warszawskich p. p.: Oczkowskiego i Michalskiego, jest ozdobą tej dzielnicy.

Po poświęceniu, dopełnionem przez ks. kanonika Biąłego, ogłoszono szereg podniosłych przemówień.

Akt ten był połączony z istną wystawą najwspanialszych roślin kwitnących, narzędzi ogrodniczych i nasion.

Dekorację stanowiły rzadkie akta i nadania, związane z dziejami rodziny, kraju i miasta, a sięgające 1722 r.

W rzadkiej uroczystości wzięło udział z górą 300 osób, przedstawicieli różnych sfer Warszawy.

Ten rzadki i piękny jubileusz wróży pomyślnie o rozwoju znanej firmy na przyszłość i świadczy o jej żywotności i doskonałym kierownictwie.

Śniegi i mrozy w południowej Francji. W południowej Francji panują niebywale mrozy. W Montpellier było 20 i pół stopni zimna. Jeziora w okolicy Montpellier zupełnie zamarły. Od r. 1870 nie pamiętają tam takich silnych mrozów. Śnieg wszędzie spadł bardzo obfity, tak że miejscami tamuje ruch kolejowy. Niektóre miejscowości są zupełnie od świata odcięte.

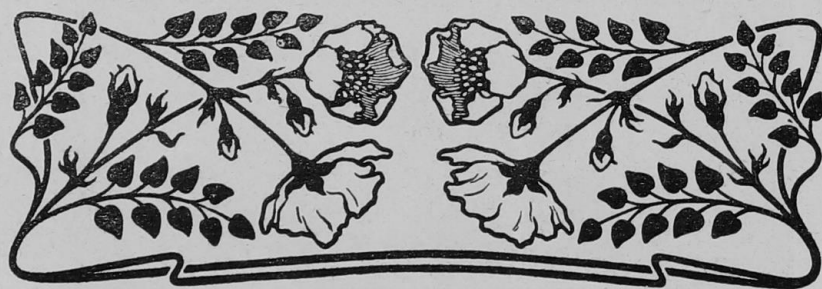
60,000 kinematografów. Cyfra to pokaźna. Rozpada się, co prawda, na miasta i miasteczka obu półkuli. A iluż to ludzi przygląda się tym widowiskom! W samej Anglii po 8 milionów osób na tydzień odwiedza kinematografy, które razem zatrudniają personel, złożony ze 12,000 ludzi, pobierających ogółem 300,000 funtów szterlingów (czyli

około 5 milionów rb.). W Ameryce publiczność w kinematografach jeszcze jest większa. Na przestrzeni Stanów Zjednoczonych po 6 milionów widzów przygląda się dziennie obrazom fotografii ruchomej. Nawet na dalekim wschodzie w Japonji, Chinach, Ziemi świętej przedstawienia migawkowe odbywają się z wielkim powodzeniem. W Jerozolimie są dwa kinematografy. Implus do tego przemysłu dała Francja, lecz Ameryka prześcignęła ją od dawna na tem polu, dostarczając film i trup teatralnych całemu prawie światu. Wszelako pod względem przedstawień, osnutych na tle historii, przoduje Europa. Dla uscenizowania „Trzech Muszkieterów“ jedno z towarzystw francuskich wydało pół miliona franków. Wystawienie „Hamleta“ kosztowało 200,000 franków, „Antonjusza i Kleopatry“ 170,000 franków. Tyleż prawie uscenizowanie „Quo vadis“, Henryka Sienkiewicza, które przedsiębiorcy przyniosło 2 miliony. Autorowi nie dało nic prawie, jak zresztą niezliczone tłumaczenia jego utworów, które powinny go być uczynić — milionerem. Przedsiębiorcy kinematografów wzbogacają się szybko, mimo że od lat kilku podróżowały znacznie filmy, tak dalece, że te, za które płacono 5—10 franków, dziś kosztują 40—200 franków.

Wśród eskimosów. Badacz podbiegunowy, Vilh-jahner Steffenson, opowiada w książce, w tych dniach wydanej w Londynie, ciekawe szczegóły o swoim 4-letnim pobycie wśród eskimosów. Zwiedził w tym czasie wybrzeża Alaski i północno-zachodniej Kanady na przestrzeń 1000 kilometrów aż do Ziemi Księcia Alberta. Jedynym jego towarzyszem był przewodnik d-r Anderson. W ciągu tych lat kilku podróżnik poznał język, obyczaje i zwyczaje eskimosów. Okazywali mu zaufanie, tem większe, że nauczył się ich mowy, czego żaden z jego poprzedników nie dokazał. Niełatwo było jednak przemódz uprzedzenia eskimosów do ludzi białych. Pełni są wobec nich obawy w przekonaniu o złej woli względem siebie. Steffenson pozyskał ich ufność, obdarzając mężczyzn fajkami, a kobiety paciorkami. Otaczali go wzamian dowodami czci, znosili mu skóry dla rozgrzewki, tran i wszystkie swoje przysmaki, nauczyli go łowić ptactwo, byli niezmordowani w świadczeniu mu usług wszelkich. Steffenson odkrył nowy typ eskimosów jasnowłosych. Mają oczy niebieskie, cerę białą. Są przeważnie chrześcijanami, mają kult dla misjonarzy; wbrew innym swoim współplemioncom, brzydzą się kłamstwem. Badacz dowodzi, że przez cały czas swojego przebywania wśród eskimosów ani razu nie spotkał człowieka — złego. Wiodą żywot patriarchalny, pełni są szacunku dla rodziców, kobiety mają prawa równe i biorą udział w łowach, co im zapewnia poszanowanie.

Minerały w ziemi. Dzisiejsze górnictwo dostarcza w ciągu doby takiej ilości materiałów, jaką dawniej wydobywano w przeciągu tygodnia. W roku 1911 ilość węgla, wydobytych na całym świecie, wy-

nosiła 1165 milionów ton; na objętość równa się to 900 milionom metrów sześciennych. Przeszło trzecią część tej ilości dostarczyły Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Wartość tego materiału obliczono na 1 miliard rb. Produkcja nafty w r. 1911 wynosiła 345 milionów beczek. Większą część nafty dostarczyły Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. W r. 1910 otrzymano ogółem na świecie 65 milj. ton surowca. W r. 1911 — 58 milj. stali; z tego 24 milj. przypada na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. W r. 1911 wydobyto 959,000 ton miedzi, przeszło milion ton ołowiu, 120,000 ton cyny, 25,000 ton niklu, 687,740 ton srebra. Wartość złota, otrzymanego w tymże roku wynosiła około 1 miljarda rb. Najwięcej wydobyto go w Transwaalu. Platyny, która jest półtrzecia raza droższa od złota, wydobyto tylko 55 pudów. Djamentów — 2500 funtów, najwięcej w Transwaalu. Przedstawiając tę ilość wydobytych kruszców obrazowo, z węgla możnaby ułożyć tak olbrzymi stos, że piramida Cheopsa wyglądałaby przy nim, jak zabawka dla dzieci. Żelazo wydobyte w r. 1911, utworzyłoby sześcian, 10 razy wyższy od katedry kolońskiej. Gdyby całą ilość miedzi, otrzymaną w roku sprawozdawczym, odlać w kształcie obeliska, to obelisk Luksorski wydałby się przy porównaniu malutkim słupkiem. Jesliby całą produkcję ołowiu odlać w kształcie kuli o średnicy 85 łokci i zatoczyć przed największy kościół św. Piotra w Rzymie, to kula zasłoniłaby go do podstaw kopuły.



Romans hrabiny.

Lady Julia Liveden wstąpiła kilka dni temu do klasztoru Klarysek w Edynburgu.

Krótką tą wiadomością przypomina nadzwyczaj ciekawy romans, którego bohaterką była lady Liveden. Kobieta ta, olśniewającej wprost piękności, skończyła obecnie właśnie lat 35. Jeszcze 16 lat temu nazywała się ona po prostu miss Julią Enary i była sprzedawczą w magazynie mód w pewnej małej mieścinie nad południowym wybrzeżem morza w Anglii. Stary wówczas już, bo 72 lata liczący lord Liveden, wdowiec bezdzietny, sparaliżowany, powracał właśnie na wózku do domu i zauważył młodą miss Julję Enary, zakochując się od razu w niej aż do utraty zmysłów. Od tego czasu kazał się codziennie wozić przed magazyn, w którym była upatrzona przez niego piękność i aby znaleźć okazję do rozmowy z miss Julją, kupował niezliczoną ilość

kapeluszy, by je później rozdawać pomiędzy biedne dziewczęta miasteczka. Idyla ta zakończyła się małżeństwem w roku 1896, a miss Julja Enary została panią Liveden. Małżeństwo było jaknajszczęśliwsze. W roku 1900 lord zakończył życie i pozostawił żonie cały swój majątek wynoszący 50 milionów franków. Wdowa usunęła się zupełnie od świata i żyła dotąd w cichości w zamku, odziedziczonym po mężu, aż nagle w roku 1908 rozeszła się pogłoska, że hrabina zaręczyła się z bogatym lordem szkockim. Drugie to małżeństwo nie doszło jednak do skutku, a zaręczyny zostały zerwane z powodów do tej pory niewiadomych.

Był to dla lady Liveden cios straszliwy, przyjaciele i krewni bali się poważnie o utratę jej zmysłów.

Po kilku miesiącach ciężkiej choroby lady Liveden przyszła do siebie, usunęła się jeszcze bardziej od wszystkich, stała się małomówną, poświęcała się długim rozmyśleniom, aż wreszcie postanowiła wstąpić do klasztoru i zamiar ten wykonała parę dni temu.

Wśród krewnych fakt ten wzbudził wielkie zaniepokojenie, a nawet oburzenie; poczyniono wszystko, co było można, ażeby młodą i piękną wdowę odwieść od tego kroku. Krążą nawet pogłoski, że poczyniono starania u władz świeckich, ażeby wydobyły hrabinę z klasztoru i poddały ją pod obserwację lekarzy. Sprawa ta budzi obecnie w Anglii olbrzymie zaciekawienie i stanowi poniekąd sensację dnia.



ZE SCENY.

TEATR POLSKI. *Juljusz Cezar*, tragedia W. Szekspira. Szekspir na scenie współczesnej, to jakoby pieśń wojenna zmierzchłej doby. Głębokie i potężne są jej dźwięki, lecz tony padają na duszę zbyt wrażliwą i delikatną, aby mogły połączyć się z nią w jedną harmonję, aby zakryć różnicę pomiędzy rzeczywistością a akcją sceniczną. Podziwiamy geniusz dramatyczny Szekspira, tak jak z zdumieniem słyszymy o waleczności legionów rzymskich, lecz dzisiaj brak już tych strun bezpośredniego odczucia, które łączyć winny autora z publicznością. Szekspir pozostanie mistrzem w malowaniu charakterów i tworzeniu scen, olśniewających swą potęgą i grozą; lecz jest to zorza polarna, chłodna w swym majestacie, po której widoku radzi wracamy do naszych bladych nocy wiosennych i ciepłych dni lata.

Niema to być bynajmniej zarzut dla jakiegokolwiek teatru, że wystawia Szekspira, ani dla naszego wielkiego przybytku sztuki, że dał nam „Juljusza Cezara”. Chodzi tylko o określenie stosunku widza do dramatów olbrzymiego twórcy XVI wieku. Tragedje Szekspira olśniewają słuchacza, lecz go nie wzruszają, nie porywają, nie przejmują do głębi duszy i serca. Niczyja to wina, prócz czasu. Przestrzeń tę może przeskoczyć wstecz myśliciel i literat; niezdolną jest do tego szersza publiczność. Niemniej pozostanie Szekspir szkołą i probierzem dla talentów aktorskich, jak lektura Cezara lub Cicera w szkole jest koniecznym ćwiczeniem umysłowości ucznia, mimo że do niej nie wraca przez całe życie.

Na temat „Juljusza Cezara” Szekspira wypisano tomy i prowadzono lata całe dysputy. Porównywano „Juljusza” sceny z „Cezarem” historii; przeciwstawiano wielkiego wodza

i męża stanu jego szlachetnemu przeciwnikowi, zabójcy Brutusowi. Zgodzono się na to, że Szekspir Cezara rzeczywistego pomniejszył, a Brutusa, wielkiego i czystego jak kryształ rewolucjonistę, wysunął na plan pierwszy. Samochwalcy, pyszałkowi i kalece przeciwstawił potężną postać tragiczną człowieka, który kocha a zabija, króla serca, który spełnia czyn okrutny w męce i bólu, słuchając głosu obowiązku. Niewątpliwie skupia się tutaj, na tej cudownej postaci, cała groza tragedji. Czyn bezcelowy, bo koronę, której odmawia Brutus Cezarowi, weźmie po zwycięstwie pod Filipinami jego syn adoptowany, Oktawjusz. Rzym „dojrzał” do panowania Cezarów, a przyszłość należy nie do dokrynerów i jakobinów, jak Brutus i Kasjusz, lecz do demagogów i rządców tłumu, jak Antonjusz.

Wielki to dramat historyczny, potężna tragedia dziejowa, którą odtworzył samoistnie mistrz sceny historycznej, Wiljam Szekspir!

Teatrowi Polskiemu należy się pełne uznanie i przypada szczytna zasługa, że po raz pierwszy w Warszawie wystawił po polsku „Juljusza Cezara”, a uscenizował go tak, iż trudno uprzytomnić sobie bardziej potężny obraz wielkiej rewolucji rzymskiej. I tło dekoracyjne, szczegóły historyczne, tłumy — to wszystko żyło i zlewało się z biegiem akcji w jeden potężny akord.

Największą postać Brutusa grał Józef Węgrzyn, ulubieniec publiczności od czasu „Irydjona” i „Pana” w „Liljach”. Mając szerokie pole do wcielenia wszechstronnej charakterystyki Szekspira, wybrał z znamienitych rysów Brutusa stronę uczuciową. Nie był bratankiem Katona, mężem z spiżu i stali, lecz był bolejącym w tragiczności swej konspiratorem. Nie dorównywał „cieleśnie” wielkiemu Brutusowi, lecz zgłębił go „duchowo”. Chciałbym w nim widzieć tylko mniej nerwowości współczesnej, a za to więcej spokoju i powagi rzymianina.

Cezara szekspirowskiego wcielił Junosza: Daleki był od tej wspaniałej postaci historycznej, jakiej mimowoli szukamy w djarjusz sceniczny, lecz za to wiernie odtworzył chwiejnego, pyszałkowatego i chorego Juljusza, jakim chce go widzieć autor angielski. Junosza nie poprawiał Szekspira, lecz grał go wiernie i prawdziwie.

Niejasnym był Kasjusz Sosnowskiego. Do końca dramatu nie wiemy, czy mamy go potępiać, czy uznawać. Autor, zdaje się, chciał tego pierwszego. Sosnowski skłaniał się do uratowania w fałszerzu listów i podżegaczu dusz czystych rzymianina. Stąd ta dwoistość postaci, z którą znów nie godzi się Kasjusza śmierć bohaterska, jako gest ostatni człowieka, który przegrał swą stawkę życiową. Z tej dwoistości charakteru wypływa wielka trudność gry sceniczej, co chętnie zapisujemy na dobro tak zdolnego artysty, jakim jest Sosnowski.

Pełne uznanie należy się Antonjuszowi Leszczyńskiego. Zadziwił i porywał, gdy stał na mównicy przed trupem Cezara; wszechstronnością swej charakterystyki, zawsze trafnej i dobrze stonowanej, wprowadził w zdumienie słuchacza. Odtworzył postać, która i dzisiaj jeszcze, w współczesnym dramacie, mogłaby porwać oczy i przykuć słuch publiczności. Nie odstępując od linii Szekspira grał czarodzieja słowa i giętkiego komendjanta najbardziej współcześnie.

Zaniedbaną przez autora w drugiej połowie tragedji postać Kaska starał się uwypuklić jak najlepiej Szobert; mniejsze role spoczywały w odpowiednich rękach Jaracza, M. Węgrzyna, Zielińskiego, Dybizańskiego, Wiślańskiego i in. Prostotę i głębię uczucia córki Katonowej oddała w ujmującej postaci trafnie Duninówna.

Dla wykształcenia publiczności i wzbudzenia refleksji w dziedzinie dramatu historycznego teatr Polski z powodzeniem wielkie podjął i przeprowadził dzieło.

T. J.



Z piśmiennictwa.

Czerwony kogut. Nowele litewskie, w tłumaczeniu Kazimierza Puidy, z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Warszawa, 1913. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Książka ta, to jakoby przegląd współczesnego piśmiennictwa litewskiego, dokonana przez samych litwinów, w utworach, przez nich samych spolszczonych, i, jako taka, jest pierwszym wypadkiem w literaturze polskiej. Autorowie nowel wyróżniają się istotnym talentem; za teren obserwacyjny służą im warstwy ludowe, z których zapewne sami przeważnie pochodzą; w technice uderza pewna kanciastość w obrobieniu, właściwość ludów i ludzi kulturalnie i wiekiem młodych. To też nowele te, to nietylko wypadek literacki; to także okno

uchylone na życie mało tu u nas w Warszawie znanego społeczeństwa. Zbiór zawiera dziewięć nowel ciekawej i odrębnej treści.

Konopnicka M. Poezje dla dzieci. Część I, dla dzieci do lat 7; część II, dla dzieci do lat 10. M. Arct. Warszawa. 1914.

Pierwsze to pełne wydanie owych przepięknych, to rzeźwonych, to pełnych pogodnego humoru liryk M. Konopnickiej, pisanych dla dzieci. Wielka autorka niezapomnianej „Historji o krasnoludkach i sierotce Marysi” gorąco umiłowala te jasne i czarne główki „przyszłych ludzi”, im też oddała najpiękniejsze perły swego natchnienia. Niniejsze wydanie, rozdzielone na dwie książeczki, dla młodszych i starszych pociech, wedle wskazówek samej poetki, tem się jeszcze zaleca, że jest tanie, a więc dotrze tam, dokąd nie miały dostępu droższe znacznie książeczki obrazkowe.

Józef Weyssenhoff. *Gromada*. Powieść. Warszawa. 1914. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

Każda nowa powieść Weyssenhoffa to pierwszorzędnny wypadek literacki, niecierpliwie oczekiwany przez tak licznych wielbicieli tego pisarza. Autor wszedł tu na wieś w Królestwie, malując współczesne stosunki dworów z chatami, a więc jednoczące i kulturalne usiłowania bardziej oświeconej szlachty, oraz burzące i niszczące dążenia części inteligencji miejskiej. Walka toczy się wśród ludu i o duszę, o przyszłość tego ludu. Bohaterem jest „gromada”—zwycięska w walce o lepsze jutro z śnieżycą, która rzuca się na niwy w maju, by ludzkie usiłowania niweczyć. Z ostatniego tego, kończącego powieść, szeroko skreślonego i pełnego potężnego uroku obrazu bije optymistyczna wiara w przyszłość, pomimo i przeciw chmurom.

Emilja Wielowieyska. *Ku jutrzni*. Powieść współczesna. Warszawa, 1913. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Powieść ta jest typowo tendencyjną w najlepszym znaczeniu tego słowa. Obracamy się tu wśród młodzieży, która wszelkimi siłami zdąży do lepszej przyszłości na drodze przede wszystkim kształcenia się, a następnie zużytkowywania nabytych wiadomości w działalności wśród i dla dobra bezpośredniego otoczenia, warstw ludowych. Młodzież ta poci obojęnie nie przeciwstawia się jaskrawo otoczeniu starszych, przede wszystkim rodziców, lecz przerabia ich powoli i nakłania do swoich celów szczerością przekonań i ciepłem serc kochających. Autorka umie dobrze obracać tłumem wyprowadzonych postaci, a z przędzy wypadków pleść fabułę żywą i zajmującą.

Edmund Jankowski. *Małe ogródki* — z planami. Warszawa, 1914. Nakładem autora.

Zasłużony b. prezes Tow. Ogrodniczego i znakomity zawodowiec w Warszawie w książce swej chce przyjąć z pomocą osobom, których zamiarem posiąść i uprawiać mały ogródek o przestrzeni od 1 do 5 tysięcy łokci kwadr. Wychodzi przytem z założenia, że obecnie objawia się coraz silniejsza dążność do zakładania miast-ogrodów i tym nowoczesnym właścicielom domków i wil chce służyć swem doświadczeniem. Dzieło służyć może także i większym właścicielom ogrodów, a to dzięki swej umiejętnie ułożonej treści i jasnych planów i rysunków.

Dzieło składa się z trzech części; pierwsza zajmuje się urządzeniem ogródka, druga materiałami, a więc roślinami, krzewami i drzewami, trzecia zastosowaniem roślin do ziemi. Całość bardzo zajmująca i przejrzysta, prawdziwie może ogrodnictwu w jego początkach oddać przysługi.

Jan Maciejewski. *Hodowla brzoskwiń*. Warszawa, 1913. Drukiem E. Szyllera. Dla większych ogrodników dziełko to prawdziwie oddać może przysługi, a to dzięki fachowości autora i wszechstronnemu wyświetleniu danego przedmiotu.

Jan Maciejewski. *Oczkowanie drzew i krzewów*. Warszawa, 1913. Drukiem E. Szyllera. Broszurka w przystępny sposób wyświetla ważną gałąź ogrodnictwa.

„Śpiewak”, organ Kół śpiewackich i towarzystw organizmów rozpoczął rok VIII swego istnienia. Numerystycznie zawiera między innymi: Od Wydziałów, Zjazd Śpiewacki w Lwowie (dokończenie), Kolendy, Pasterački, Muzyka mścicielką (nowelka), O pierwszej operze polskiej, Kto poniżył stan organistów (dokończenie), Z życia kół i towarzystw organizmów.

Numer na okaz gr. i fr. wysyła: K. T. Barwicki Poznań, Półwiejska № 35.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO” wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50, kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna” w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Szarada.

Pierwsza—trzecia cudne dźwięki niegdyś wydawała,
Drugie—jest w alfabecie, szarada więc mała.
Odpowiedzieć teraz proszę: co oznacza *cała*?
Która może według woli być duża, lub mała.

✱

Trafne rozwiązania Szarady z numeru 2 „Ziarna”
koper — konik —

K O P E R N I K

nadesłali: Wł. Lasocki z Warszawy, St. Majewska z Suwałk, A. Meetz z Grodziska, St. Łukasiewicz z Łodzi, M. Chojnacki z Warszawy, W. Wiatrowski z Warty, B. Skup z Witebska, M. Piekarski i J. Wiśniewski z Warszawy, T. Kołdunek z Karmanowic, H. Piskorski z Pabjanic, M. Muda z Siennicy R., J. Janowski z Zbierska, W. Z. z Daszewa.

Dwie pierwsze osoby prosimy o odebranie sobie nagrody w formie książek w Administracji „Ziarna”.

Od Administracji.

Z powodu kilkudniowego bezrobocia personelu drukarskiego zmuszeni byliśmy połączyć №№ 3 i 4. Aby wyrównać Czytelnikom „Ziarna” stratę, rozszerzyliśmy znacznie połączony numer.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. Adamowi Zak. w Kielcach. Prenumerata całoroczna „Ziarna” wraz z wszystkimi dodatkami wynosi 7 rb., półroczna 3,50 rb., kwartalna 1,75. Całoroczni prenumeratorzy otrzymają przy dopłacie 40 kop. na przesyłkę poleconą i opakowanie—bezpłatnie okładkę płócienną do albumu „Świątynia sławy narodowej”.

WPani Zofii Lew. w Suw. Za rozwiązanie każdej szarady lub zagadki wyznaczamy dla pierwszych osób dwie premje w formie książek: jedną dla Warszawy, drugą dla prowincji. Książki należy odbierać w administracji lub zażądać wysłania za zwrotem portorjum.

W. Xiądz Zyg. Rom. w Rost. Pierwsze numery „Ziarna” uległy opóźnieniu z powodu: 1) licznych świąt, 2) unormowania potrzebnego nakładu, 3) nieporozumień w drukarni i strajku zecerów. Mimo najlepszej woli Redakcji i Administracji technicznym tym przeszkodom trudno było zaradzić.

TREŚĆ N-ru 3—4.

Nasza młodzież. — Pieśń z boru, wiersz Z. Dębickiego. — Polska sztuka plastyczna. — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włóczęgi. Myszares (c. d.). — Korona Łokietka. — Jawa. — Kulig. — Z zimowych dni, wiersz L. Grabskiej. — Wybuch wulkanu japońskiego. — Ziarnka naukowe. — Wybryki natury. — Kronika polityczna. — Z Kaukazu. — Z bliska i daleka. — Romans hrabiny. — Ze sceny. — Z piśmiennictwa. — Szarada. — Od Administracji. — Odpowiedzi redakcji.

Ilustracje: C. Rychter. Córka Kalifa. — Bajka Z. Józefczyka. — Wisła Wł. Nałęcz. — Portret własny Angieliki Kaufman. — Mieszkania jawajskie. — G. Marx: Kulig w XVII wieku. — Jawajczycy okolicy Dżokji. — J. Pyot: Bukiet. — Powierzchnia Marsa. — Przystanek na wojskowej drodze gruzińskiej. — Więzienie w Tyflisie. — Jałta na Krymie. — Karawana muzułmanów w Mechecie. — Mała piastunka Br. Wiśniewskiego.